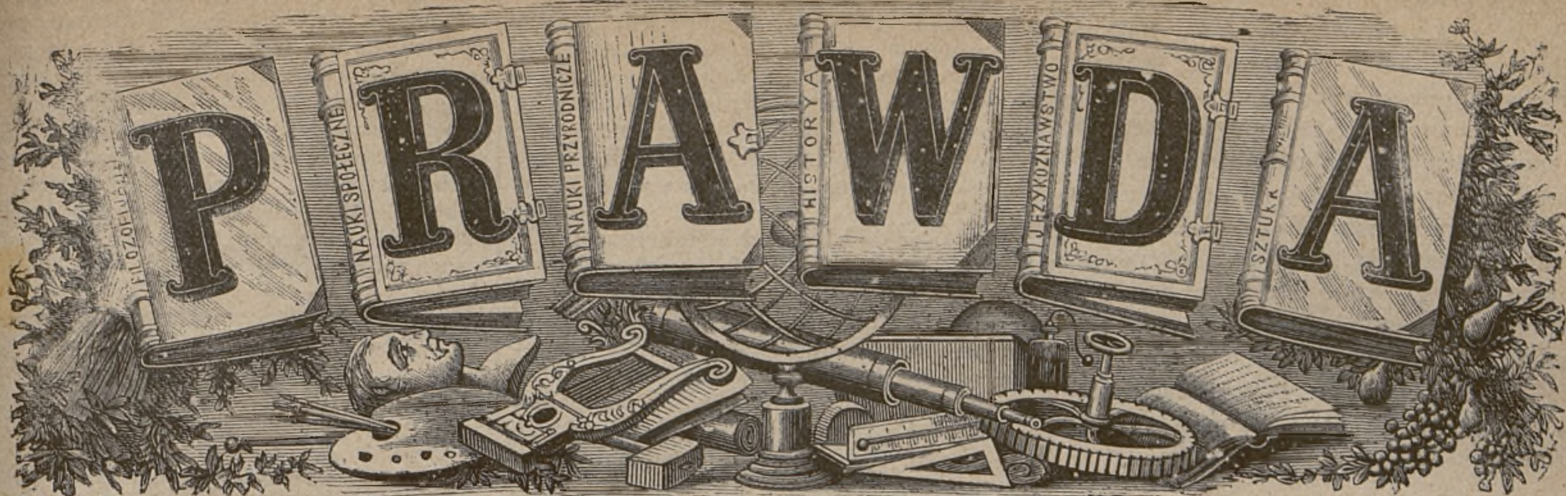
№ 12. Warszawa, dnia 24 (12) Marca 1888 r. Rok VIII.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY” (wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Złota Nr. 23.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ: *Polityka:* Rozwiane złudzenia. — Tydzień polityczny. — Nieśmiertelne dusze. II. Aureli Wiszar dramat w trzech aktach W. Okońskiego.—*Badania naukowe:* Echa mesyanistyczne w literaturze polskiej IV. p. Augusta Gustawa Bema. — Gawędy filozoficzne III. p. N. Hirszbanda. — Odczyty na osady rolne V. p. N. H. — Kartki naukowe. — *Literatura i sztuka:* Literatura francuzka p. E. Przew. — Teatr p. J. — W. Sabowski. (Wspomnienie pośmiertne). — *Poezya:* Wilk-dyplomata p. Włodzimierza Wysockiego. — — *Fejleton:* Liberum veto p. Posła Prawdy. — Na widnokręgu p. Drogomira. — Kronika bieżąca. — Odpowiedzi redakcyi. — Ofiary. — Ogłoszenia.

Szan. abonentów kwartalnych prosimy o wczesne nadsyłanie przedpłaty. Ponownie uwiadamiamy, że numery: 1, 2 i 3 **Prawdy** z r. b. są wyczerpane.

POLITYKA.

ROZWIANE ZŁUDZENIA.

Następcy tronu są zwykle bohaterami legend fantastycznych a jako władcy—sprawcami zawodów. Ponieważ nie uczestniczą w rządach, w których każde stanowisko jest dla nich za nizkie a właściwe — zajęte, ponieważ przeważnie wiodą życie prywatne, które nie odsłania ich charakteru publicznego, więc wyobraźnia ogółu z rysów oderwanych, z faktów wątpliwych, z plotek wreszcie składa sobie obraz przyszłego monarchy i potem dziwi się, dostrzegłszy znaczne różnice między oryginałem a jego kopią. Rozczarowanie takie zaczyna budzić Fryderyk III. Częścią z jego niechęci do ks. Bismarka, częścią z przejętych przez żonę upodobań angielskich, częścią wreszcie z łagodnych cech usposobienia wyrosła baśń, przedstawiająca obecnego cesarza Niemiec jako dość radykalnego liberała, który kiedyś tajemnie dyktował artykuły do *Nazional Zeitung*, a wstąpiwszy na tron, zacznie burzyć wszystko, co zbudował jego ojciec. Pierwszy telegram Fryderyka III, pozostawiający wszystkim swobodę objawiania żałoby po jego zmarłym rodzicu, był drożdżami dla tej baśni, która wybujała do dziwacznych rozmiarów. Słyszeliśmy obok siebie nawet zachwyty nad tym „pięknym wyrazem liberalizmu.“ W manifeście do narodu i w liście do kanclerza jeszcze odnaleziono perły dla tego sznurka: zwłaszcza wzmianka o szanowaniu konstytucyi i o tolerancyi religijnej została oklaskaną. Uważniejsze jednak zbadanie obu tych pism zamroczyło w kilku punktach jasną zorzę nadziei. Bo przecie nowy monarcha zapowiedział dalsze rozwijanie prac i spełnianie zamiarów swego poprzednika, a — jak zauważyła ta sama *Nazional Zeitung*, która mu za powiernicę służyć miała— stanowczy ton odezw zdradził wolę mocną i twardszą, niż nawet akcenty przemówień Wilhelma I. Wkrótce okazały się inne objawy przeczące złudzeniom. Stara wieść głosiła uparcie, że Fryderyk III, po włożeniu na głowę korony, dla przecięcia sporu między Francyą i Niemcami, zamierza z Alzacyi i Lotaryngii, czy też samej Lotaryngii, utworzyć państwo neutralne, rodzaj buforu, zabezpieczającego dwa mocarstwa od gwałtownych i niebezpiecznych uderzeń. Tymczasem, zamiast buforu, potwierdził on prawomocność tej zdobyczy i znowu rozwiał pajęczą siatkę iluzyj. Słowem, mniemany liberał z San Remo nie sprawdził dotąd niczem legendy, która go otoczyła.

W piśmie do parlamentu powiada on, że nie będzie kusił się wcale o czyny wielkie i poprzestanie na skromnej roli dobrodzieja swej ojczyzny. Spowiedź ta jest bardzo znamienną i wymowną. Przedewszystkiem rozdziera ona ostatecznie naiwną wiarę w zmianę zasady i kierunku wewnętrznej i zewnętrznej polityki Niemiec, rozdziera już przez to samo, że nie każe spodziewać się „czynów wielkich,“ które jedynie wytworzyłyby przewrót. Fryderyk III nie jest, jak jego ojciec, żołnierzem, nie zamyka wszystkich swych dążeń w armii, posiada wiele łagodności w charakterze i humanitarnych pragnień, ale cała ta suma jego cech wystarczy zaledwie na dokonanie drobnych przeróbek i poprawek w budowie państwa. Ten i ów maszynista będzie zastąpiony innym, to i owo kółko — usunięte lub wprawiono, ten i ów motor—wzmocniony lub osłabiony, ale na tem skończy się cała reforma. Da ona niemcom szereg ulg i ulepszeń, przesunie i sprawiedliwiej rozłoży ciężary życia, lecz ani stosunków wewnętrznych radykalnie nie przekształci, ani do zewnętrznych nie sięgnie. Będzie to — że użyjemy porównania dziennikarskiego — korekta, nie zaś autorstwo polityczne. Do takiej pracy oryginalnej, śmiałej i samodzielnej Fryderyk III nie rości pretensyi i nie czuje w sobie sił. Zobowiązuje się jedynie do czynów małych. Do wielkich brak mu przedewszystkiem zdrowia. Bo nawet geniusz dla rozwinięcia i wykonania swych planów potrzebuje czasu, nieraz bardzo długiego czasu: skąd go weźmie człowiek niemy, z rurką w gardle, z rakiem w krtani, z dogasającem życiem, ze zrujnowanym organizmem? W takiem położeniu Napoleon I nie myślałby o zdobyciu świata a Bismark o zjednoczeniu Niemiec: co najwyżej myślałby o ratowaniu się z dnia na dzień i przedsięwzięciach na krótką metę. Tak też czyni Fryderyk III. Gdyby nawet poczuł w sobie potęgę do wielkich czynów, nie rozpocząłby ich, bo wie, że prac dłuższych nie skończy.

Koniecznością więc dlań jest utrzymanie istniejącego porządku rzeczy w zarysach ogólnych. Konieczność tę uzna on zarówno w gospodarstwie wewnętrznem, jak i w stosunkach międzynarodowych. Będzie wywoływał — że tak powiemy — katalepsyę, tężec, stwardnienie rzeczywistości obecnej zapomocą hypnotyzacyi pokojowej. Myśl jakiejkolwiek wojny leży od niego równie daleko, jak myśl wyprawy do bieguna północnego. Stan jego zdrowia wymaga spokoju, a więc Europa pozostanie w pokoju, nader podobna do niego, bo również dotknięta chorobą operacyjną.

Wszyscy tedy marzący o wpływowym i rozległym liberalizmie monarchy niemieckiego, wszyscy spekulujący na wojnę,

wszyscy gracze loteryi politycznej, wszyscy niemający w swej doli innej nadziei, tylko oczekiwanie pożądanych skutków przełomu, o ile ze zmianą głowy koronowanej w Niemczech wiązali swoje marzenia, muszą na ten czas z niemi się rozstać. Fryderyk III pozostanie nietylko rodowym, ale i politycznym synem Wilhelma I. Ponieważ zaś założenia swoje będzie on dopasowywał do sił, które mu natura dała, i do zdrowia, którego mu odmówiła, Europa przeto zyskała w nim środek ochrony dalszej dotychczasowego stanu niepewności, której ciężarów on swym skromnym liberalizmem nie zmiejszy i ran nie zagoi.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Boulanger! Ale dlaczego Boulanger, a nie Saussier, Vernet, Tibaudin? Czemu ten właśnie a nie inny jest bohaterem ulicy, przedmiotem okrzyków, ulubieńcem tłumów? Od wielu już miesięcy człowiek ten podrzucany jest w górę przez swych wielbicieli, wywołuje zamieszki, wyzywa do walki rząd, niepokoi zagranicę — i dotąd nie wiadomo, co przed innymi poleciło go uwadze a następnie zapałowi wrzeszczącej na jego benefis rzeszy. Dotąd bowiem nie odznaczył się on niczem, chyba sztuką podniecenia gawiedzi i druzgotania wrogów językiem. A gawiedź ta przedstawia go ciągle jako pierwszego syna Francyi, jako mściciela jej krzywd, jako przyszłego bohatera wielkiej walki. Zapewne ona w to wszystko wierzy, ale odleglejsi świadkowie tej czysto francuskiej szopki zapytują: czemu los owej przedwczesnej sławy padł na Boulangera, a nie na dziesięciu lub dwudziestu innych generałów? Jest on wybrańcem loteryi łask tłumu — oto jedyna odpowiedź. Wypłacono mu chwalę z góry, dano zaliczkę olbrzymią na rachunek wielkości czynów, których może nigdy nie spełni... Ten bohater *a conto* ubawiłby serdecznie wszystkich ludzi trzeźwych, gdyby śmiechu nie powstrzymywała myśl, że ta nieszczęśliwa Francya znowu chce powierzyć się kierownictwu awanturników a w każdym razie zuchów wątpliwej wartości, którzy dopiero kiedyś mają zasłużyć na położone w nich zaufanie. Zważmy, że temu Boulangerowi, który dotąd jeszcze nie dowiódł, czy umiałby stoczyć zwycięzką bitwę na czele jednego korpusu przy równych z obu stron siłach, że takiemu generałowi tłum paryski i jego radykalni przywódcy gotowi są oddać nietylko naczelną władzę w kraju, ale i hetmaństwo, w wojnie z Niemcami. Naprzeciw Moltkego stanie Boulanger — co to za równość rękojmi!

Nareszcie rząd zabrał się energicznie do przyszłego bohatera, którego wbrew zasadom reguły wojskowej przywódcy chórów ulicznych zamierzali wybrać na posła do parlamentu. Boulanger wypierał się wspólnictwa z tą agitacyą, a tajemnie ją rozpalał, pomimo zakazu ministra wojny przyjechał do Paryża w przebraniu, udając kalekę chodzącego o kulach i albo sobie drwił ze swich zwierzchników, albo ich oszukiwał. Przebranie, niebieskie okulary, peruka, kule, cała ta komedya wysoce śmieszna i głupia, musiała podobać się gawiedzi paryskiej, która w niej dostrzegła ów daremnie dotąd poszukiwany dowód wielkości swego oblubieńca. Przypomniała ona jej Napoleona I, wielu zresztą mężów historycznych, którzy posługiwali się środkami podobnymi. Ale rząd nie mógł pobłażliwie patrzeć na te jasełka i naprzód zawiesił Boulangera w służbie, a następnie go ukarał dymisyą. Naturalnie usunięcie z armii pozbawi nadziejowego człowieka tylko pensyi generalskiej, ale nie pozbawi go dalszych wypłat sławy na rachunek przyszłej wielkości; owszem będzie on teraz pobierał jeszcze większe zaliczki, bo otrzymał krzyż męczeństwa. Boulanger wejdzie jako poseł do Izby i wsparty mocą namiętności tłumu, będzie odznaczał się w potyczkach parlamentarnych. Rola jego jeszcze nie skończona, bo w ludności francuskiej, a zwłaszcza paryskiej, nie wypaliła się jeszcze wiara w mężów opatrznościowych. Może Rzeczpospolita we Francyi utrzymać się stale, ale że ona dotąd jest tam ustrojem sztucznym, że jej nie odpowiadają instynkty i upodobania narodu, że ci sami radykaliści, którzy za nią najkrzykliwiej gardłują, w istocie swojej pragną mieć jakieś bożyszcze, jakiś kult przypominający im dawne czasy — to widać na każdym kroku. Wmawiają w siebie i w innych, że boulangeryzm jest czemś zupełnie innem, niż bonapartyzm lub orleanizm, tymczasem są to wyznania polityczne bardzo pokrewne. Rochefort przypomina Cassagnaca — i naodwrót. Nic też dziwnego, że często te „extremités se touchent.“

Europa uciszyła się. Zamęt w stosunkach, wywołany śmiercią ces. Wilhelma i wstąpieniem na tron Fryderyka III, jeszcze się nie ułożył, a rozwój wypadków szuka nowego łożyska. Śród ciszy ogólnej głośno odzywa się zatarg rządu austryackiego z przedstawicielstwem narodowem o podatek wódczany. Galicyanie oparli się ministrowi Rodakowi, który chciał ich jeszcze mocniej zdusić, ale mają otrzymać jakieś ustępstwa i wrócą do uległości.

BADANIA NAUKOWE.

ECHA MESYANISTYCZNE

w Literaturze polskiej.

VI.

Druga ewangielia Kazimierza Brodzińskiego.

Gdy burza 1831 r. opłakaną sprowadziła katastrofę, a gromady rozbitków poszły na obczyznę szukać chleba i nadziei, dwaj pieśniarze, Kazimierz Brodziński i Adam Mickiewicz, nie porozumiewając się ze sobą, jednocześnie prawie zaopatrzyli smutnych wędrowców w pokrewne treścią i formą przewodniki ewangieliczne.

Posłanie do braci równie poetycznym, jak *Mowa o narodowości*, napisane językiem, oparte na tym samym, co i ona, gruncie myślowym, różni się od niej posępniejszą nieco barwą i w trójnasób większym rozmiarem. Stanowiąca logiczną podwalinę dziełka definicya, w nowy kształt przebrana, zdradza mimowolną uległość autora względem błyskotliwych światełek współczesnej filozofii niemieckiej. „Narody są drzewem żyjącem, które rosną wewnątrz siłą, w których każda pogoda i pora życie rozwija. Naród jest nieodgadniony i niepojęty, jak duch — od pokoleń do pokoleń ożywia dusze i w nich nieśmiertelny jest. Z dymem pójdzie i spadnie piorunem, z parą pójdzie i spadnie deszczem ożywczym. Hartuje się, miotany żywiołami, a gdzie wiele śmierci, tam wiele życia około niego.“ Jest to niby wieszczem tchnieniem uskrzydlony, paradoks heglowski: *Das Nichts ist, denn es ist ein Gedanke*. Ustrój też podstawowy *drugiej ewangielii* Kazimierza z Królówki zamyka się w ramach tezy, antytezy i syntezy (założenia, przeciwstawni i zestawni), uwyda-

4)

NIEŚMIERTELNE DUSZE.

II.

AURELI WISZAR

dramat w trzech aktach

W. Okońskiego.

(Dzieje się współcześnie w Krakowie).

AKT II.

(Mieszkanie Kreislerów).

SCENA I.

Ksawery hr. Jastrzębiec i Sylwia Kreisler.

Sylwia.

Nie pozwolę panu być w najmniejszej przewadze. Ktoś z rodziny pańskiej powiedział, że żeniąc się ze mną, sprawiasz mi większą łaskę, niż bierzesz posag.

Ksawery.

Plotka albo bezmyślna gadanina.

Sylwia.

Gadanina, której bezmyślność chcę właśnie wykazać. Nie lekceważę społecznej i towarzyskiej wartości dostojnych rodów, ale odczuwam honor i mam dumę mojej sfery, dumę ludzi, którzy wiele mogą, bo wiele mają.

Ksawery.

Rozumiem ją i najzupełniej podzielam.

Sylwia.

Zresztą mniejsza o to, czy nasz przyszły związek daje powód do oplatania pańskiego czoła cierniowym wieńcem ofiary, ale przyznasz pan, że przy tego rodzaju małżeństwach, jak nasze, odzywają się śmieszne współczucia dla herbów splamionych— złotem.

Ksawery.

Na ten herb przysięgam pani, że o podobnym współczuciu nie słyszałem, a nawet przypuszczam, że ono, jako zbyt niedorzeczne, w niczyjej głowie się nie zalęgło.

Sylwia.

W żadnej rozumnej—to pewna. Bo ostatecznie świetność rodów wybłysła z bogactw, niemi się utrzymuje i zasila, a bez nich gaśnie. Zbiedniali panowie mogą przechowywać w popiołach iskry swoich tradycyj, mogą je rozdmuchiwać, ale nie mogą ich rozpalać w płomień olśniewający. Tu właśnie rozpoczyna się rola bogatego mieszczaństwa, przez które jedynie stara arystokracya odradza się i odmładza. Gdzie ono jej nie wsparło, tam zubożali książęta pasą kozy lub usługują w portach. Mówię to dlatego, ażeby mój narzeczony nie sądził, że podając mi rękę zniża się, a przyszły mąż nie spoglądał na mnie przez ramię.

Ksawery.

I skąd te podejrzenia, po co te ostrożności? Czy oprócz słów przywiązania usłyszała pani coś innego z ust moich od czasu, gdy je szczerze otwierać mogę?

Sylwia.

Owszem, zajrzyjmy w swoje dusze jak najgłębiej, bądźmy dla siebie o ile można przezroczyści, to nam ułatwi i uprzyjemni życie. Małżeństwo— to także spółka, a ja jako córka kupca, lubię zawierać układy jasne i rzetelne.

Ksawery.

Nasz z mojej strony jest najuczciwszy.

Sylwia.

Wierzę temu i dlatego zostanę pańską żoną. Ale nim zostanę, targuję się o równość. Pan, idąc do ślubu, jak paw roztoczysz wspaniały ogon swych książęco-hrabiowskich stosunków, a ja mam być skromną szarą pawicą? Nie! Prosiłam ojca, ażeby

tnionych w zarysie przeszłości, teraźniejszości i przyszłości społeczeństwa polskiego. „Dziwiły się niegdyś obce narody dostatkom ojców waszych, ich taborom, orszakom sług, ubiorom i rzędom na konie, bogactwy połyskującym (teza): a oto teraz nie mogą się napatrzeć ubóstwu synów ich, obnażonych i skaleczałych" (antyteza); ale „*ubogi* wszystko ma *u Boga*, a na zubożonym palec jest Boży" — on wam świetne wytknął przeznaczenie: on was powołał do godności apostoła, przez którego „narody połączą się w jeden kościół, tak jak w jedno królestwo pokoju" (synteza). W natchnieniu proroczem oparł się wieszcz mimochodem na bardzo śliskiej, mistycznej zarazem i pseudo-etymologicznej podstawie: jakie kapitały *ubogi* może mieć w depozycie *u Boga*, nie wiadomo; to jednak pewna, że pierwsza część danego wyrazu nie jest przyimkiem, lecz negacyą (ubogi—niebogi), a taki wykład, zgodny z nauką i świadczący o trzeźwym na sprawy ziemskie twórców języka, praojców naszych poglądzie, upoważniałby wróżbitę do wyświetlenia mniej wesołych dla nędzarza horoskopów. Obraz przeszłości narodowej nie przedstawia tu nawet takiego, jak w *Psalmodyi* lub *Sybilli* całokształtu. Jest on równie jasny, jak u Woronicza, ale bardziej ogólnikowy, co uwalnia poetę od... usilnego posrebrzania gliny i złocenia miedzi. Chrzest Polski, stosunek do niemców i krzyżaków, stanowisko posterunkowe między wschodem i zachodem, sejm czteroletni—oto główne rysy dziejów politycznych; pielęgnowanie wiary i wolności, wstręt do fanatyzmu religijnego i królobójstwa — oto cechy etycznej organizacyi narodu, jakie się, zdaniem Brodzińskiego, w historyi naszej ujawniły. Autor w malowaniu przeszłości jest, naturalnie sprawozdawcą namiętnym i stronnym. Uznawszy Polskę za Chrystusa ludów, przeprowadza naiwną paralelę między naszem społeczeństwem a Jezusem — aż do chwili, w której „namiestnik Piotra" (Grzegórz XVI) wyparł się zbiorowego Mesyasza. *Posłanie do braci* zostało wydrukowane dopiero w r. 1838, w trzy lata po śmierci autora, w sześć — po wydaniu *Ksiąg narodu i pielgrzymstwa*. Nie ulega przecież wątpliwości, że jest ono płodem schyłku 1831 lub początku 32 r. — jeżeli nie wcześniejszym, od prac apostolskich Mickiewicza, to przynajmniej współczesnym. Pisał je poeta pod świeżem wrażeniem pogromu, w celu przyniesienia moralnej ulgi wychodźcom, którym z początku znikome kwiaty entuzyazmu, potem kości wzgardliwej jałmużny na obczyźnie pod nogi rzucano. Od d. 3 maja, gdy wypowiedział swą *Mowę o narodowości*, do chwili narodzin *drugiej ewangielii* ubiegło może pół roku. Okres ten, bogaty w wypadki, wpłynął na ochłodzenie sympatyi autora ku stolicy apostolskiej i Francyi. Kraina do niedawna „siostrą Polski" zwana, ściągnęła na siebie ciężki zarzut egoizmu. Upajając błędnych rycerzy orła białego chaszyszem złudzeń, starał się ich wszakże poeta otrzeźwić z płonnej wiary w pomoc gallów i rozdmuchać iskrę rozsądnej miłości własnej: „Filip tylko i Leopold (król belgijski) na krwi waszej zarobili. Francuzi wołają: krew nasza dla francuzów jest tylko." Radzi więc myśleć o sobie tym, w których sercu i dłoni spoczywają, jak mniema, zadatki przyszłego odrodzenia ludzkości. Nie wynika stąd jednak, by mieli zejść z drogi prawej i bronią zdrady walczyć. Wieszcz-publicysta odmawia poklasku brzmiącemu paradoksowi, „cnotą i cierpliwością szlachetnych wielmożą się źli." „Jesteście ludem szlachetnym — powiada — Maryi rycerstwem: na takie rycerstwo poświęcił Bóg ojców waszych, gdy pierwsze słowo ewangielii zasłyszeli; szlachetność jest bronią waszą, którą sam was opasał." „Szanuj każdy w sobie godność ojczyzny, jako Maryi, a w ojczyznie szukaj godności twojej." Przeszłość narodowa, jak mniema Brodziński, nie powinna ulegać ostrej krytyce. „Kto dziś błędy tylko ojczyzny przed obcymi wytyka, ten odsłania na pośmiech ciało matki zmarłej." W jedenaście lat później Krasiński w podobnym zanucił tonie:

„Ty nie szukaj w ojcach winy,
Ty nie wdawaj się w szyderstwo!
Bo to potwarz i bluźnierstwo!"

Cała różnica między zaznaczonymi wyżej poglądami obu wieszczów na tem polega, że tamten widzi błędy w przeszłości, ale ze względu na majestat chwili, synowską przejęty boleścią, kirem je zasłania; ten — żadnych nie dostrzega skaz na tarczy słonecznej. Jeszcze bardziej zbliża się Brodziński do autora *Psalmów przyszłości* arcypochlebnem o herbowcach naszych mniemaniem. „A wy, co u obcych z niedorzecznemi na szlachtę polską rozwodzicie się słowy, wiedzcie, powiedzcie sobie raczej z dumą tajemną, że lechici szlachtą dziś są europejską; bo w narodach wszędzie uczucia szlachetne wygasły, a interes osobisty i kupiectwo jest ich duszą jedyną. Szlachta polska dochowała ten ogień, który średnie wieki od barbarzyństwa ratował i dziś, stłumiony, ożywić jest jej powołaniem." Tak przemawia autor *Wiesława*, kojarząc ślepym węzłem arystokracyę ducha z mniemaną— pod względem antropologicznym— arystokracyą rodu...

Wiara w siebie i w Boga, tolerancya przeszłości, wzajemne pobłażanie i zgoda, czystość moralna i duma w łachmanach ubóstwa, „obnoszenie się słowem," a unikanie polemicznej na piśmie szermierki („słowianie, słowem się obnoście, a nie piszcie wiele"), przy nieustannem dążeniu do ideału — oto wiązanka rad i przestróg, jakiemi Brodziński obdarza różnobarwną gromadę współziomków-tułaczów. Najwięcej go zajmują obrazy przyszłości. O wewnętrznem przeobrażeniu społeczeństwa niewiele mówi — uznaje tylko potrzebę udoskonalenia moralnego w duchu Chrystusowym. Różnica stanów dla niego, zdaje się, nie istnieje; bo niepodobna przypuszczać, by pieśniarz, co postać chłopa polskiego w literaturze z jaką taką wiernością odtworzył, nie myślał o niższych warstwach ludu, gdy wyłącznie o szlachcie mówi; niepodobna przypuszczać, żeby nie *marzył*, chociaż uparcie *milczy* o nadaniu praw obywatelskich wszystkim członkom społeczeństwa. Do takiego o Brodzińskim sądu upoważnia — wysoko przezeń trzymany sztandar wodza rybaków, przeczystego syna Maryi. Ulegając wpływowi katastrofy, zachwycił się w mesyanistycznym nastroju całością społeczną tak dalece, że o różnych jej częściach zapomniał a szlachtę uznał, prawem tradycyi, za główny organ i czoło narodu apostolskiego. Tendencya demokratyczna ujawnia się w siódmym i ósmym rozdziale, które stanowią istne pieścidło formy i liryki nierymowanej. „Kto dotąd przeszedł, narodzie mój, to niczem nieukołysane morze życia twojego?.. Nie masz ty dotąd poetów swoich, coby całą twą duszę objęli i w jedyny posąg, jako wizerunek, wystawili, jak tchnienie boże i całe człowieczeństwo wyraziło się w tobie. Pieśni twych dziewic, psalmy kapłanów, wrzawa obozów i sejmów, chrzęsty kłosów i oręźów twoich, trąby tryumfalne i jęki konania są jednym hymnem, w którego wzniosłości i harmonii rozpływać się będzie ten, kto do słyszenia ich właściwego stanowiska dostąpi." Słowa te, pełne ognia i powagi proroczej, zachęcały niezawodnie ówczesnych pieśniarzów do ubiegania się o wieńce pierwszeństwa. Jak w danym rozdziale marzy Brodziński o wielkim poecie narodowym, tak w następnym — o mesyaszu... Czy obie potęgi mogą być w je-

---

wesele nasze było możliwie wystawne, zbytkowne, ukazujące potęgę pieniężną domu Kreislerów. Nadto pragnę, ażeby w tej uroczystości uczestniczyły liczne deputacye urzędników i robotników fabryk, których ojciec mój jest właścicielem lub akcyonaryuszem, ażeby opinia i prasa uznały i ogłosiły nasz związek jako połączenie dwu sił różnych, ale równomiernych. Upamiętniając zaś ten dzień ważny dla naszych rodzin, ofiarujemy oboje dla kas robotniczych po 10,000 guldenów.

Ksawery.

W obecnej chwili nie jestem na ten datek przygotowany.

Sylwia.

Domyślałam się, ale ja pana przygotuję— potrzeba jednak, ażeby on wyszedł z kieszeni pańskiej. Mój przyszły mąż może być ode mnie biedniejszym, ale nie powinien być biednym, gdyż w takim razie zbyt wyglądałby na kupionego. 10,000 guldenów to za mała sumka, ażeby wolno było panu z panów jej nie mieć. A zatem proszę nie żałować trudu na przygotowania do naszego wesela..

Ksawery.

Jakiego trudu?

Sylwia.

Wszakże powiedziałam, o co mi chodzi.

Ksawery.

Więc ja mam utworzyć owe deputacye?

Sylwia.

Objaśnić dyrektorów, ażeby je między robotnikami wywołali. Świat musi widzieć, że ojciec mój jest dobroczyńcą masy ludzi, że między nim a nią istnieje nietylko stosunek pieniężny, ale i uczuciowy, że my w tym stosunku czerpiemy dla siebie prawo do zaszczytnego szlachectwa, do arystokracyi społecznej.

Ksawery.

Widzę, że pani bardzo wiele na tem zależy, więc tę myśl podsunę w fabrykach, chociaż nie przeczę, że będę nieco skrępowany...

Sylwia.

W każdym razie mniej, niż ja lub mój ojciec. A przytem nic nie szkodzi, że pan przed ślubem wprawisz się w uległość dla żony (*podaje mu rękę*). A ja nieraz będę bardzo wymagającą.

Ksawery.

Zamawiam sobie miłosierdzie.

Sylwia.

Nie lękaj się pan: ludzie rozumni nawet w małżeństwie umieją zawsze dojść do zgody lub— rozejść się bez gniewu.

Ksawery.

Tego nie przewiduję.

Sylwia.

A ja sobie nie życzę. Spodziewam się, że będziemy parą przykładną, bo się łączymy a nie stapiamy. A teraz, kiedy już ułożyliśmy naszą przyszłość, pozwolisz mi pan dotknąć swej przeszłości?

Ksawery.

Proszę.

Sylwia.

Jest ona wyłączną pańską własnością, do której nie mam żadnego prawa; jeśli więc pan wolisz mi go odmówić, nie miej skrupułu.

Ksawery.

Przypuszczam, że będziesz pani wspaniałomyślną.

Sylwia.

Może nie.

Ksawery.

Ufam.

Sylwia.

Nie drażni mnie ciekawość, ale chęć znajomości życia męża mojego przynajmniej o tyle, o ile jego historya jest obcym ludziom znana. Nie lubię być uważana za naiwną i nią rzeczywiście nie jestem: byłoby mi wielce nieprzyjemnie, gdybym kiedykolwiek z powodu pana musiała znosić złośliwe uśmiechy i szczypiące słowa bez wiedzy o ich znaczeniu i prawdzie. Krótko

dnej połączone osobie, nic nie wspomina. Ponieważ jednak w przyszłości, jak przewiduje wieszcz Kazimierz, „systemy ministrów, filozofów, reformatorów w nic pójdą,“ a natchnienie, z górnej spływające sfery, wszelką zastępuje specyalność, przeto genialny poeta i „mesyaszem“ być może... Wzniosłą rolę Homera-Mojżesza Opatrzność powierzy, komu zechce: ma do niej prawo zarówno wychowanek pałaców, jak i dziecię kmiecej chaty.

Ideał polityczny Brodzińskiego już nam w części znany. Jego wyrazem jest federacya ludów, będąca jak najobszerniejszem rozwinięciem dawnej Rzeczypospolitej polskiej.

Oto główne zarysy *drugiej ewangielii* Kazimierza z Królówki. Będąc wyrazem chorobliwego systemu rozumowania, przedstawia w sferze poezyi niewiązanej — jeden z najpiękniejszych utworów lirycznych Brodzińskiego, mogący iść w zawody chyba tylko z *Nowym rokiem przyszłości*. Wzorów dostarczyła wieszczowi literatura hebrajska. Czytał też może *Prodrome du messianisme* (1831) Hoene-Wrońskiego, oraz dzieła ks. Roberta de Lamennais, katolika-rewolucyonisty, stojącego już podówczas na progu apostazyi kościelnej. Z *Psalmodyą polską—poselstwo* w ścisłym zostaje związku; o ile jednak sądzić można z wydrukowanych w zbiorowem wydaniu odczytów o literaturze (gdzie Kochowskiemu bardzo skromne wyznaczono miejsce), profesor-poeta nie miał sposobności poznać tej pierwszej okazałej *Księgi świętej* narodu.

Antoni Gustaw Bem.

GAWĘDY FILOZOFICZNE.

III.

Kolos współczesnej Francyi. — V. Hommay. — System Taine'a.— Myśliciel i malarz w jednej osobie.— Poprawne wydanie Comtyzmu. — Trzy gałęzie metafizyki. — Ogłoszenie jej upadłości — Filozofia nauk jako jej następca.

Francya ma dzisiaj wielu ludzi sławnych, może ich nigdy tylu naraz nie miała, a pomiędzy nimi są tacy, na myśl o których nieraz pewnie chciałbyś zapytać: skąd tyle uczoności, tyle twórczego talentu, tyle barw w stylu, tyle specyalnych nauk w jednym naraz umyśle! Niewątpliwie najwięcej podobnego dziwu budzi Taine. Jestże to możebne, ażeby jedna i ta sama osobistość była autorem aż tylu epokowych dzieł jak *Dzieje literatury angielskiej*, *O inteligencyi*, *Podróż po Włoszech*, *Filozofia sztuki*, *Początki Francyi współczesnej* i wiele, wiele innych? ażeby z pod jednego pióra wyszło potężne *fiat* nowej szkoły w krytyce piśmiennictwa, w poglądzie na sztukę, w pojmowaniu myślicieli ojczystych i brytańskich, w sądach o wartości i znaczeniu wielkiej rewolucyi? Nie—odpowiadasz zwykle, i wyobraźnia tworzy ci na prędce jakichś kilku pisarzów jednego i tego samego nazwiska, dając jednemu imię Henryk, drugiemu Hipolit itd.

Człowiek, który nawet od nienaiwnych odbiera tak jaskrawe świadectwa swej mocy, jest zagadką bardzo ciekawą— ale mało jeszcze rozwiązaną. Obchodzi się on ze światem nie zupełnie z galanteryą swoich rodaków, skąpi im danych o własnem życiu, a co najważniejsza, łącząc wszystkie zalety ducha galskiego, posiada jeszcze głębię i gruntowność, obce mu, i nie dla wszystkich najbliższych swych czytelników jest zrozumiałym, a przez mało kogo należycie ocenionym. Przynajmniej do nas nie doszły żadne wieści o jakiejkolwiek poważniejszej o Taine'ie pracy. Głośne imię tłucze się po tysiącach książek, jako imię mistrza całych setek literatów — lecz, o ile wiem, nie doczekało się osobnego studyum, umiejętnej i dosyć wykształconej polemiki lub wreszcie charakterystyki.

A przecież jak wdzięcznem byłoby zadaniem pochwycić w tym kilkoramiennym olbrzymie wiedzy, to co ramiona łączy; owo tło zasadnicze, z którego wychodzą, niby gałęzie, pomysły do różnych dziedzin badania, ów pierwiastek syntetyczny, który je ujmuje w jaką taką sharmonizowaną całość!

Bo, że ona istnieje, dowodzą najlepiej zapiski, znalezione w papierach V. Hommay'a, żarliwego czciciela Taine'a i wybornego, jak widać znawcy. Okazuje się z nich, że słynny myśliciel, estetyk i dziejopis jest wskróś przeniknięty pewną ideą naczelną, niby matką, której dziećmi są prawdy po różnych utworach szafowane. Jest to niedobitek metafizyki! a tyś może mniemał, że prawowierny pozytywista. A nie! Całkiem świadomie pragnie on jedności i systematu w zapatrywaniach na naturę i myśl ludzką, i tę ostatnią obdarza większą daleko samorzutnością niż np. empirycy angielscy, a zwłaszcza Mill, z którym na wielu punktach rozchodzi się. Po za krainę zmysłów zaziera mało—ale w jej obrębie nie cofa się przed zagadnieniami natury spekulatywnej. Nad pojęciem przyczyny zastanawia się długo — bo też ona w jego teoryach przednią odgrywa rolę. Nie wierzy on, ażeby w przedmiotach i zjawiskach tkwiły jakieś odrębne byty, tajemnicze i niepochwytne, któreby *rodziły* nowe zjawiska i rzeczy, zwane następstwami i skutkami. Nie wierzy też w duszę, jako samoistny, realny byt, nie sądzi, ażeby wiedzę i całe bogactwo treści: wyobrażenia, pojęcia, przeczucia i wiadomości zawdzięczała mistycznym dobrodziejom, wyposażającym ją jeszcze przed wypuszczeniem jej na arenę ziemskiej istności. Jest przekonany, że każdy byt rzeczywisty, pośród swych wielu cech, ma pewne zasadnicze, podstawowe, których nie straci nigdy, choćby postać jego najrdzenniej się przeobrażała, i które sięgają tak samo w nieograniczoną przeszłość. Np. w poecie widzi w połączeniu z osobistymi rysami i odcieniami przedewszystkiem znamię pewne główne, wspólne wszystkim w danym okresie żyjącym, uogólnia je w pojęcie ducha wieku, a w szeregu wykluwających się jedna z drugiej epok dostrzega znowu pewne piętna, wspólne jeszcze ogólniejszej natury, i nazywa je fizyognomią ludu lub cywilizacyi.

A zatem pojawy twórczości i natchnienia artystycznego tłomaczy on i objaśnia psychologią rasy i narodu. To znaczy, iż dusza narodu pojmowana jako *przyczyna* jednostkowego temperamentu i twórczości jest tylko uogólnieniem i podniesieniem do jednej całości tych rysów znamiennych, które są po indywiduach rozproszone. A więc pojęcie przyczyny — to rozwój pojęcie uogólnienia, oderwania (abstrahowania). Ale i cała przyroda składa się z dziedzin, hierarchicznie jedna nad drugą stojących; wyższa jest dla niższej przyczyną i zarazem *prawem*. Lecz, powtarzam, prawo to nie stanowi żadnej egzystencyi osobnej, a jest poprostu sumą właściwości posiadanych przez jestestwa i pojawy, podległe mu. Ma ono jednak przytem zakrój dedukcyi, nie jest wysnutem empirycznie z poglądania zjawisk a stanowi *konieczność* logiczną. Dla Milla np. i tych, którzy źródło naszej treści duchowej upatrują w kojarzni pojęć i w bezpośredniem doświadczeniu, nawet pewniki matematyczne są owocem osobistego przekonania, że inaczej nie jest i być nie może. Dla Taine'a — przeciwnie. Ażeby uznać, że dwie linie, prostopadłe do trze-

---

mówiąc, co pana łączyło i rozłączyło z panią Wiszar i panną Cecylią?

Ksawery.

Dość zwykła omyłka — taka, jaka np. zdarza się, gdy zamiast własnej weźmie ktoś przy stole cudzą serwetę.

Sylwia.

Jaśniej wytłomaczyć pan tego nie możesz?

Ksawery.

Rozsądek pani ułatwi mi tę spowiedź. Zapewne zgodzi się pani na to, że każdy człowiek, odpowiednio do swego stanowiska, wymagań i praw, musi zużyć dla siebie jakąś ilość ludzi — w ten lub inny sposób. Panna Regina a dziś pani Wiszar swobodą życia i zasad upoważniła swoich znajomych do mniemania, że ani sama nie zrzeka się praktycznych korzyści z tej swobody, ani ich nie odmawia najbliższemu otoczeniu. Wzięła ona do siebie sierotę, jak się później okazało córkę mnicha, którą tresowała w swej sztuce życia. Opiekunka, przebiegła i mądra, była syreną niebezpieczną, bo pod swe zaloty podkładała sidła małżeńskie, na które wreszcie złapał się obecny jej mąż, niedoświadczony dudek afrykański, świeżo do Europy przybyły. Natomiast jej wychowanka, dziewczyna miła, ładna i dobroduszna, przedstawiała ponętę kuszącą. Jeżeli pani młodemu człowiekowi, który ascetą nie jest, wybaczy zamiary, z jakimi on wchodzi w sferę tej moralności, to wybaczy mu pani również, że w zwycięztwie chciał być pierwszym. Na moje nieszczęście panna Regina zaczęła omotywać pana Aurelego i dowiedziała się, że on jest bratem Cecylii, wówczas, kiedy ja odsłoniłem moją intencyę...

Sylwia.

Zerwaliście więc znajomość.

Ksawery.

Naturalnie.

Sylwia.

Tak, to zwyczajna przygoda kawalerska. Ale kto był ową cudzą serwetą?

Ksawery.

Panna Cecylia.

Sylwia.

Dla kogoż ją przeznaczono? Pojmujesz pan, że to mnie bardzo obchodzi, bo przecie ona miała być a może jeszcze będzie żoną mojego brata.

Ksawery.

Ściśle, bez domysłu, objaśnić tego nie umiem. Przypuszczam tylko, że panna Regina chciała ją komuś podarować lub sprzedać, gdy zaś nagle sama znalazła sposobność powrotu do świata uczciwego przez małżeństwo, zmieniła plan co do wychowanki i cofnęła ją z krzywej drogi. Na tej drodze spotkał Cecylię pan Justyn.

Sylwia.

W każdym razie niepożądana bratowa. Czy Justyn wie o tem?

Ksawery.

Napomknąłem mu, ale słuchać nie chciał. On w prostocie ducha nawet panią Reginę uważa za charakter kryształowy.

Sylwia.

Wyobraź pan sobie, że wiele osób tak ją sądzi. Czy pan jesteś pewien tego, że ona była... swobodną.

Ksawery.

Bezpośrednich, własnych dowodów jej łaski nie posiadam, nigdy się o nie nie starałem i śledztw nie prowadziłem, ale świat męzki ma swoją giełdę, na której notuje kursa moralności kobiet. Otóż panna Regina Zawierz była zawsze ceniona nizko.

Sylwia.

Szkoda, że pan masz tylko podejrzenie. Prawie wolałabym... dowody. Przydałyby się one dla Justyna i dla mnie, bo tej kobiety nie lubię za jej bezmierną dumę, za coś, co ją ośmiela być tak wspaniałą, jak gdyby nawet płatki śniegu spadały nie na jej głowę z góry, tylko wznosiły się do jej kolan oddołu (*wchodzi Kreisler*).

ciej, są do siebie równoległe, nie opiera się on na *wyobraźni*, szepcącej, że się one nigdy nie skrzyżują— ale na pewnem poczuciu, że tak *musi* być koniecznie, że to wypływa z samej natury i rodzaju obu równoległych.

Zdania te i tym podobne znajdziesz w 5 tomie *Dziejów literatury angielskiej* oraz dziele *O inteligencyi*. Fakt, że rozszerzają one trochę empiryzm. Hommay widzi w nich udatną próbę pogodzenia porywów metafizycznych, nawiedzających umysły szersze i wielostronne, z wymogami nauki i rozumowania ścisłego. Mógłbym dodać, że wpada w uniesienie — ale go nie dzielę, już choćby dlatego, że nie tak trudno dojść do — niby - systemu Taine'a, gdy się pojęło dobrze system Comte'a. Co zaś do teoryj poznania, jakim hołdują anglicy — to te są chyba wytrzymalsze na krytykę, bo z sobą zgodne, podczas gdy Taine jakby kokietował nieco jakieś idee wrodzone, jakieś pojęcia apriorystyczne, pomimo iż się od nich *jawnie odżegnywa*.

Wizerunkowi samego pisarza i jego metody uwagi Hommaya dodają wyrazistości. Zawszeć milej znać podkład filozoficzny reformy dokonanej przez Taine'a w estetyce; u nas zwłaszcza, gdzie na pięćdziesięciu wzywających imienia jego nadaremnie, najwyżej jeden znajduje się (a może i to złudzenie), co widział coś więcej, prócz grzbietów jego dzieł — nie zaszkodzi chociażby macierzystą ich ideę poznać. Ona zresztą, będąc zespoleniem faktów i oderwań syntetycznych, może posłużyć za klucz do łamigłówki: jak mógł Taine pogodzić rozległe plany i zarysy z miłością dla pstrych barw życia obyczajowego i estetycznego, z malowniczymi opisami zwyczajów, kultur dawniejszych, z bogatą w odcienie charakterystyką postaci, z całym kalejdoskopem jawy. Rzadko filozof bywa takim poetą w obrazowaniu i mowie: rzadko „wielość“ tak dworacko dotrzymuje kroku „jedności,“ jak u „śmiałego burzyciela bałwanów metafizyki urzędowej“ — wedle wyrażenia Bourgeta — burzyciela, albowiem Taine'a to zasługą, że eklektycyzm francuzki odarł z niezasłużonej aureoli.

Zaklętym wrogiem już nietylko metafizyki swojskiej, ale wszelkiej jest E. Roberty. Dzieło jego *Filozofia dawna i nowa*, będące dopiero początkiem całego cyklu pokrewnych pism — należy bezwarunkowo do ciekawych i bardziej pomysłowych. Coś to niby poprawna edycya Comte'a, pełna trafnych uwag i świeżości. Tak np. Roberty odważnie broni tezy, iż historya filozofii a filozofia sama to bynajmniej nie jedna dziedzina, jak mniemają powszechnie — a dwie dosyć różne, gdyż pierwsza całkiem jest wasalem socyologii, i może być przedmiotem badań, niezależnych od filozoficznego dociekania, tak samo jak np. przeszłość badań biologicznych może być celem dochodzeń niezawiśle od rozwiązywania zagadek ustrojowego życia.

Na klasyfikacyi Comte'a, tym najtrwalszym może pomniku jego sławy, oparł Roberty i klasyfikacyę systemów, a to w następujący sposób. Łańcuch nauk daje się podzielić na trzy części: grupę nieorganiczną albo fizyko-chemiczną, z matematyką jako podwaliną; grupę organiczną, albo biologiczną, opierającą się na pierwszej, i wreszcie trzecią—nadorganiczną albo psycho-socyologiczną, również na poprzednich wspartą. Otóż „wszystkie hypotezy ogólne, podawane kiedykolwiek, a więc wszystkie pomysły filozofii dają się sprowadzić do jednego z tych trzech działów zjawisk przyrodniczych.“ Do pierwszego — materyalizm, do drugiego — sensualizm, do trzeciego — idealizm. W rzeczy samej materyaliści, dajmy na to Thales, Anaksymenes, Anaksymander wychodzili zawsze z postrzeżeń fizycznych, szkoła Sokratesa i cały idealizm z refleksyj społecznych, moralnych i psychologicznych.

No a sensualiści? Ci odpowiadają grupie pośredniej, która stanowi most między wiedzą przyrodniczą o wszechświecie a socyologią. Roberty twierdzi, że nie ma takiej odmiany, takiego odcienia filozofii na zmysłach ugruntowanej, któraby nie była *biologizmem*.

Nie znaczy to wszystko jednak, by i rozwój dziejowy doktryn szedł w tym samym porządku; z tego bowiem punktu widzenia sensualizm okazuje się najpóźniejszym, wypływającym poniekąd z chęci pogodzenia poglądów skrajnych, kultu idei i kultu materyi, i rozkwita dopiero należycie w wieku ośmnastym, tj. wtedy, gdy najlepsze teorye idealistyczne już istniały.

Wszystkie trzy odłamy filozofii uważa de Roberty za prostą metafizykę i upatruje w nich mimo różnic jeden rys wspólny: rozumowanie *a priori*. Potępia je przeto ryczałtem, choć przyznaje, że mogą zawierać trochę okruchów prawdy — gdyż „rehabilitować pewien sposób myślenia skazany bez apelacyi na śmierć“ — a próbować wynaleźć w masie błędów cząsteczki prawdy, mogące przydać się na jutro, to dwie rzeczy różne. (*Revue philosophique*, grudzień 1887).

Roberty odmawia metafizyce wszelkiego, nawet historycznego znaczenia. Nie wierzy, ażeby sądy ogólne wytwarzać mogły prawdy naukowe, przodować im i torować drogę; sądy ogólne są same wytworami pozytywnej nauki, a że później drogą refleksu wzajemnie na nią oddziaływują, więc im niesłusznie przypisywaną bywa zasługa kierowników. Słowem, metafizyce ponownie ogłoszoną została upadłość.

Stąd też słynne prawo trzech stanów (teologia, metafizyka i pozytywizm), należy według Robertego pojmować w ten sposób, że dwa pierwsze były jedynie fazami myślenia filozoficznego a nigdy — nauki. Nauka jest zawsze umiejętnością pozytywną, nigdy inną. Wskutek pewnych braków i niedostatecznych rozwiązań daje ona pochop do snucia teologicznych lub metafizycznych teoryj, ale sama przez się nic z niemi wspólnego nie ma. Tak np. osławiona obawa próżni (*horror vacui*) zrodziła się nie z nauki, ale z filozofii.

W ogólności całą sferę badań po za umiejętnością faktów de Roberty dzieli na dwa państwa, stanowiące pod względem oderwania dwa szczeble. Na niższym stoi filozofia nauk, której zadaniem—łączyć w syntezę, w całokształt ostateczne wyniki pojedynczych gałęzi wiedzy; na drugim— pełna przestarzałych uroszczeń metafizyka. Lecz i filozofia nauk dopiero dziełem przyszłości będzie, a zarys jej, jak widać z zapowiedzi, Roberty ma w dalszym ciągu sam zbudować.

Pewnie uśmiechasz się ironicznie na tę wiadomość i wzruszasz ramionami, przypomniawszy sobie, że nie od dziś filozofia spuściła z tonu i poprzestaje na posłannictwie filozofii nauki, że zatem Ameryka, którą obiecuje odkryć De Roberty, nietylko jest odkrytą ale i skolonizowaną przez nowych myślicieli. Nie bierz mu jednak za złe tego traktowania ich *per non sunt*, gdyż okupuje je jasnością i jędrnością pomysłów i obiecuje być nie tuzinkowym mędrkiem.

N. Hirszband.

ODCZYTY NA OSADY ROLNE.

V.

Siódmy i ósmy wykład w seryi tegorocznej przypadły również przybyszowi z Ga-

---

SCENA II.

Ciż i Kreisler.

Kreisler.

Nikt jeszcze nie przyszedł?

Sylwia.

A kto ma być?

Kreisler.

Naprzód Justyn.

Sylwia.

Zapewne pisze sonety do panny Cecylii.

Kreisler.

Jakim sposobem ta sama krew może płynąć w moich i jego żyłach! Zwinięty ślimak śpi w jego głowie zamiast mózgu (*do Sylwii*). Moje dziecko, przywołaj go tu koniecznie, zaraz.

Sylwia.

Muszę mu zepsuć marzenie (*wychodzi*).

SCENA III.

Ksawery i Kreisler.

Kreisler.

Marzenie! Dlaczego to nie nazywa się ogłupienie, próżnowanie, świderek do wiercenia dziur w obłokach! To ma być coś! Niech on z marzenia uprzędzie jedną nitkę bawełny! Kiedy chce być miechem wzdychającym, niech przytknie gębę do ogniska kuźni i rozdmuchuje ogień. Wierz mi pan, ja wolę człowieka, którego ciągle boli brzuch, niż serce.

Ksawery.

Słusznie — leczenie żołądka łatwiejsze.

Kreisler.

Naturalnie. Miłość w mężczyźnie, to barć w sośnie: miód daje, ale drzewo niszczy. I ja przecież byłem młody, lubiłem kobiety, ale nie zapominałem nigdy, że żona — to koperta z czułym listem i pieniędzmi. Podoba mu się szczególnie panna Cecylia, niech sobie wyszuka podobnej. Czy tej gęsi nie możnaby zwabić na złoty owies... rozumiesz mnie pan?

Ksawery.

Zręcznie ją podejść a obficie posypać...

Kreisler.

Dam dużo pieniędzy, ale mało czasu. Niech to będzie weksel z terminem długim— rocznym, dwuletnim, ale weksel terminowy — uważasz pan. Proszę mu to zastrzeżenie wyraźnie powtórzyć.

Ksawery.

Ja?

Kreisler.

Myślałem, że pan przez życzliwość i związek z naszym domem...

Ksawery.

Ojcu bliżej do syna, niż obcemu człowiekowi do przyszłego szwagra.

Kreisler.

Ja mam tyle interesów, a tego mazgaja może biorę za twardą rękę. Ale skoro pan nie chcesz, pomówię z nim.

Ksawery.

Nie będę panom przeszkadzał.

Kreisler.

O jeszcze nie zaraz — taka bagatela nic parzy, można ją w zanadrzu trzymać. Owszem, zostań pan, bo mamy dziś naradę ważniejszą, w której pan, jako mój przyszły zięć, uczestniczyć powinieneś. Czekam tylko na pańskiego stryja. Czemu on się spaźnia!

Ksawery.

Lekarze zabronili mu chodzić szybko.

Kreisler.

Niech tylko z nimi się wda, to mu potem każą chodzić tyłem, bokiem, pod wiatr, z wiatrem... Już oni i mnie mieli w swoich obrotach, ale odprawiłem tych szewców, co całe buty łatają, a dziurawych zszyć nie umieją (*wchodzi hr. Scibor*).

(D. c. n.).

licyi — dr. Krzymuskiemu, który zaznajomił słuchaczów już nieco liczniej zebranych z „nową włoską szkołą prawa karnego.“

Po dosyć długim, dosyć obfitym w frazesy i dosyć luźno do przedmiotu przyczepionym wstępie o walkach między szkołami naukowemi wogólności, prelegent zaznaczył różnicę dwóch światów, do jakich człowiek istotą swą należy — świata konieczności i świata powinności. Pierwszy, materyalny, jest bezwzględnie posłuszny prawom natury, które nim rządzą, a które dr. Krzymuski niezbyt szczęśliwie nazwał „ustawami,“ kładąc je tem samem po za obrębem natury; drugi jest sferą duchową człowieka i warunkuje dziedzinę praktyczną, dziedzinę postępowania, słuchającą jedynie rozkazów wolnej woli. Tu o przymusie fizycznym mowy być nie może, a co najwyżej o psychologicznym, wywieranym przez trzy kategorye nakazów i zakazów: religii, moralności i prawa. Zasada niezależności woli była już kamieniem węgielnym rzymskich pojęć o przestępstwie, a więc klasycznych i zdołała przetrwać aż do naszych czasów. A wyrazem jej — dogmat prawny, iż stopień niezawisłości woli przestępcy w dokonywaniu czynu karygodnego winien stanowić o jego winie i odpowiedzialności. Jednak w drugiej połowie naszego wieku pewnik ten zaczęto podkopywać. Najpierw niemiecki lekarz dr. Schilling w dziele swem ogłoszonem 1866 r., a za nim włoch, prof. Lombroso w książce p. t. *L'huomo delinquente*, gdzie sprawę przestępstwa rozpatruje ze stanowiska antropologicznego i twierdzi, że zbrodniarze nałogowi niezależnie od tego, czy działają z rozmysłem, czy nie — są jedynie powolni potężniejszemu od nich instynktowi, mającemu swe źródło w pewnych anomaliach cielesno-duchowego ustroju. Badając wielką liczbę przestępców, doszedł do przekonania, że zachodzi stały związek przyczynowy między zbrodniczością a organizacyą i odważył się naszkicować nawet pewien typ zbrodniarza, na którego charakterystykę składają się takie mniej więcej cechy: a) anatomiczne — mała głowa, wysoki wzrost, gęste brwi, skąpy zarost; b) patologiczne— skłonność do chorób epileptycznych i bardzo często wada serca; c) fizyologiczne — dziwna nieczułość na ból fizyczny, wielka zwinność ruchów ręcznych i dar niezależnego władania każdą z rąk jednocześnie, wreszcie d) psychologiczne — nadmierna próżność, ujawniająca się np w ten sposób, iż łotrzy wytrawni i na wielką skalę uważają się za arystokracyę w porównaniu z pospolitymi rzezimieszkami lub oszustami, dbają o imię swe, upamiętniają je itp., oraz mania tatuowania ciała, która choć właściwa wogóle niższym klasom ludu na południu, u przestępców dostarcza cyfr bardzo osobliwych.

Jakkolwiek dzieło Lombrosa dopiero w bieżącem dziesięcioleciu zostało rozpowszechnione i zapowiadało wiele uzupełnień — znaleźli się uczeni, co je za dojrzałe uznali, z wielkiem uznaniem przyjęli i użyli za podstawę do wniosków praktycznych, mianowicie: Garofalo i Ferri. Ten ostatni zwłaszcza z zapałem pochwycił rzuconą teoryę i przedstawił jej zastosowanie w broszurze *O pozytywnej szkole prawa karnego*, oraz *Nowych widnokręgach pr. kar.* Wypowiada w nich jawną wojnę dawnej kryminalistyce, którą uważa za metafizyczną dlatego, iż za podwalinę służy jej często oderwane pojęcie o przestępstwie, a nadto wiara w wolną wolę, dotąd jeszcze przez nikogo nie udowodniona. Staje on na gruncie faktów i prawdziwego pożytku: w społeczeństwie widząc ciało zbiorowe, żąda dla niego takich samych dźwigni rozwoju i pomyślności, jak i dla organizmu pojedynczego, to jest: ochrony czynników pożądanych i obrony przed szkodliwymi. Takpojmowane prawo karne nie może stosować do wszystkich przestępców jednakowej zasady karalności, albowiem równałoby się to leczeniu przestępstwa, czyli jakiejś abstrakcyi, a nie samego winowajcy, podobnie jak do niedawna medycyna pragnęła leczyć choroby, a nie chorych. Innemi słowy, ustawy karne powinny liczyć się troskliwie z indywidualnością przestępcy, a wtedy cały arsenał władzy karzącej rozpadać się będzie na cztery grupy środków: zapobiegawcze, naprawcze, poskramiające i wyłączające.

Pierwszą wypełniają przepisy policyjne, wprost niedopuszczające pewnych czynów, mogących otworzyć pole zbrodnictwu, oraz t. z. surogaty kary, czyli urządzenia administracyjne, gospodarcze, rodzinne i wychowawcze, usuwające pobudki przestępstw i samą ich sposobność. Np. zastąpienie banknotów monetą brzęczącą zniosłoby całą kategoryę specyalnych fałszerzów. Wysokie opodatkowanie napojów wyskokowych zmniejszyłoby znakomicie skłonności występne, które, jak stwierdza statystyka Francyi, w latach urodzaju na winogrona, wzmagają się ogromnie.

Środki naprawcze zmierzają do powetowania krzywdy i szkody, wyrządzonej jednostce lub społeczeństwu. O ile jednak stosować się nie dają, co zachodzi nader często, ustąpić muszą miejsca środkom trzeciego rodzaju, tj. represyjnym. Te stosowane być winny do przestępców okolicznościowych, których znowu podzielić należy na dwie grupy. Typy pierwszej zawdzięczają swe zbrodnicze porywy szkodliwym wpływom zewnętrznym, należy w nich przeto wzmacniać oporność na pokusy przez pracę, chłostę a nawet natryski zimną wodą. Typy drugiej kategoryi, działające pod wpływem uniesienia i nadmiernego podrażnienia, należy w osobnych zakładach leczyć ze zbytniej drażliwości.

Wreszcie przestępcy nałogowi, do których wypada stosować środki najbardziej stanowcze, bo wykluczające, powinni być albo zamykani na zawsze w szpitalach karnych, o ile działają pod wpływem jawnego obłędu, albo też skazywani na więzienie bez ograniczenia czasu, o ile przyczyną ich zbrodni wada organiczna i nałóg zakorzeniony. O najradykalniejszym sposobie pozbycia się szkodliwych członków społeczeństwa przez karę śmierci — mowy być nie może, gdyż w samych Włoszech, według Ferrego, los ten musiałby spotykać rokrocznie 1,500 winowajców.

Jakie stanowisko zajmuje sam prelegent wobec streszczonej przez siebie doktryny? Widocznem było zawczasu iż — przyjazne. Nader wymownie razem z Ferrim wytykał sprzeczności w zasadzie wolnej woli, słusznie zapytywał, dlaczego sędzia biorąc w rachubę obłęd, nieletność i tym podobne okoliczności, łagodzące winę przestępcy, nie baczy zarazem na klimat, położenie geograficzne, porę roku i wiele innych czynników, niewątpliwie na stopień winy wpływających. Słuszną też wyrażał obawę, iż teorya względów łagodzących otwiera pole sofistyce obrończej i mija się z swem powołaniem osłabiania w społeczeństwie pierwiastku zbrodniczego. Jakże miłą po tak realistycznym sądzie niespodzianką dla prawowiernych było kazanie postne o błędach, tkwiących w założeniu filozoficznem teoryi włoskiej, pełnej nieufności dla wolnej woli. Bóstwo to, w oczach galicyan również potężne dziś, jak przed pięciuset laty, dr Krzymuski natychmiast postawił obok dwu innych: nieśmiertelność duszy i istnienia siły kierowniczej wszechświata; chociaż te dwie poważne zagadki tyle tylko w odczycie miały wspólnego z zasadą wolnej woli, że wszystkie trzy są imperatywami według Kanta, na którego szanowny mówca się powołał. Słuchacze bez *takiej* oceny pozytywizmu w prawie karnem byliby się niewątpliwie obeszli dobrze. Sam zaś prelegent, podnosząc z *Krytyki praktycznego rozumu* to, co jest piętą Achillesową mędrca królewskiego, ujawnił filozofię mocno trącącą myszką i pobrzękującą dzwonkami stańczyka.

Bądź co bądź należy mu się szczera podzięka za spopularyzowanie pomysłu, niesłychanie dla przyszłości doniosłego, a i dziś już nader ciekawego ze względu na odkrycia, jakiemi zbogacają antropologię, psychologię i socyologię. Żałować jeno wypada, że milczeniem pominiętą została teorya Garofala, którego *Kryminologia* wprawdzie dopiero w druku, ale zasadnicza teza już w *Przeglądzie filozoficznym* dawno ogłoszoną została (i czytelnikom *Prawdy* we właściwym czasie streszczoną).

Zaznaczyć jeszcze wypada wielką staranność w opracowaniu formy obu odczytów. Dlaczego obu, kiedy skrót dwu dzieł śmiało zawrzeć było można w jednym? Dlatego, że teatralne odděklamowanie prelekcyi wymaga dwa razy więcej czasu, niż mowa zwykłych śmiertelników.

N. H.

KARTKI NAUKOWE.

Towarzystwo szerzenia samooświaty w Niemczech. W skład Towarzystwa wchodzi 2,654 osób i 658 korporacyj z 200,000 członków. Są to naprzód prowincyonalne związki oświaty ludowej, niektóre, jak: szląski liczy 6,500, westfalski 13,000 członków itp.; następnie czytelnie ludowe, stowarzyszenia pożyczkowo-zaliczkowe, spożywcze, gimnastyczne, banki ludowe i in. Dochody ze składek członków, sprzedaży broszur itd. wynosiły w 1884 aż 111,700 marek. Korporacye rządzą się samodzielnie; komitet centralny jest jedynie łącznikiem pomiędzy niemi. W zarządzie spotykały się nazwiska, jak Virchow, Gneist, Schulze-Delitzsch, Pfeiffer, Schlangintweit. Celem związku jest niesienie pomocy wszystkim towarzystwom samokształcenia, bibliotekom, czytelniom, zakładanie nowych instytucyj tego rodzaju, wyszukiwanie nauczycieli, urządzanie odczytów, wiązanie zakładów samooświaty w jedną całość. „Celem stowarzyszenia — jak wyrzekł jeden z członków — jest zorganizowanie w każdej miejscowości, po za urzędową szkołą, instytucyi, mającej na zadaniu samokształcenie ludowe.“ Związek działa za pomocą najrozmaitszych środków. Wypracowywa dokładne ustawy dla instytucyj samokształcenia i samooświaty. Układa katalogi ludowe. mniejszej lub większej rozciągłości, według ułożonej skali funduszów. Najniższą granicę stanowi suma 191 marek; katalog tak ułożono, iż za nią można nabyć małą, lecz doskonałą bibliotecekę. Związek trzyma się zasady z doświadczenia, iż beletrystyka winna zajmować 30%, historya naturalna 25%, historya i biografia 25%, geografia i podróże 10%, technologia 10%. Wśród historyków widzimy Buckle'a, Hellwalda, Ranke'go; z przyrodników Faradaya, Büchnera, Liebiga, Humbolda, Tyndalla, Haeckla, Vogta, Wagnera. Zakłada biblioteki: w 1875 związek posiadał 313 bibliotek z sumą 170,000 tomów. O rozwoju w tym kierunku można sądzić z dat lipskich: w 1873 założono 10 bibliotek wiejskich z 6,290 dziełami, w 1874 dwie nowe ludowe i 10 dziecinnych, w 1875 — 20 dziecinnych. Są jeszcze biblioteki wędrowne, na samym Szląsku liczymy ich aż 23. Urządza odczyty; wśród prelegentów znajdujemy Virchowa, Gneista, Reklama, Brehma i in. Wysyła się nauczycieli objazdowych. którzy w różnych miejscowościach bawią dni kilka i miewają lekcye. Takich lekcyi było w 1884—467, w 1885 — 500. Urządza wystawy naukowe i muzea. Getynga np. posiada muzeum z 9 działów: z geograficzno-historycznego, fizycznego, zoologicznego, astronomicznego i in. Wydaje książeczki, kalendarze (w 90,000 egzemplarzach), gazetę; szerzy związki gimnastyczne, śpiewackie, zabawy zbiorowe, biblioteki dziecinne i zabawy dla dzieci. Zresztą związek rozwija się obecnie nie z taką szybkością jak dawniej, przed laty 10—15, z powodu swej postawy w kwestyach ekonomicznych, najbardziej interesujących ludowe warstwy miejskie w Niemczech.

Szkolnictwo w Stanach Zjednoczonych Północnej Ameryki. Przed nami leży streszczenie ostatnich sprawozdań komisyi, wyznaczonej z urzędu dla zbadania stanu szkolnictwa. Kilka faktów zwraca na się uwagę. Jednym z nich, i pono najbardziej bijącym w oczy, jest niezmierne uczestnictwo płci żeńskiej w nauce i nauczaniu. „Wymagania, powaby handlu i przemysłu dla młodzieży męskiej z jednej, energia zaś i samoufność kobiet z drugiej strony sprawiają, iż te ostatnie coraz bardziej stają się warstwą uczoną w porównaniu z mężczyznami.“ Nie będziemy wykazywali udziału kobiet w nauczycielstwie początkowem; zauważymy natomiast, iż dwa razy więcej kobiet niż mężczyzn wstępuje do szkół wyższych i trzy razy więcej kończy! Wogóle, liczba kobiet, uczęszczających do wyższych zakładów naukowych, wynosiła w roku komisyi 40,000. W jednym uniwersytecie praktycznym, odpowiadającym naszej politechnice, znajduje się pewna liczba kobiet. „Wykonywały one te same roboty, i jakkolwiek wolniej czyniły postępy, mogły się przecież poszczycić tymi samymi co mężczyźni rezultatami.“ Drugim faktem, niemniej znaczącym, jest rozpływanie się rodziny w szkole. Co do nauczycieli licznych ogródków dziecinnych, instytucyi nader rozgałęzionej, gdyż istnienie jej jest koniecznością dla rodziców pracujących po za domem, działalność ich nie ustaje z ukróceniem godzin szkolnych. W razie choroby dziecka rodzice wzywają go do zajęcia się doglądaniem; w wypadku śmierci na jego głowie spoczywa urządzenie pogrzebu itd. „To, jakkolwiek dziwne na pozór, znajduje się jednakże w związku z nowoczesnym podziałem pracy, który czyni rodziców coraz niezdolniejszymi do wychowywania dzieci, pomoc zaś fachowych ogródków dziecinnych — niezbędniejszą.“ Taki stan rzeczy pochodzi z warunków zarobkowania, odrywających ojca, matkę i starsze rodzeństwo od domu. Wskutek tego, kwestya urządzania hygienicznego ogródków dziecinnych kosztem gmin oraz zakładów dla przygotowywania wykształconych dozorczyń stanowią najbardziej palące na dzisiaj pytania w szkolnictwie początkowem Stanów Zjednoczonych.

Ubezpieczenie starości i nowy ideał społeczny. W programie reform społecznych Bismarka spoczywa między innemi zapewnienie robotnikom emerytury na starość. Jak stoi obecnie sprawa z tą instytucyą, pod tym względem „Rada związkowa“ zachowuje nieprzełamane milczenie; kiedy przedstawi projekt parlamentowi, nie wiadomo, choć z dotychczasowych prób reform Bismarkowskich można śmiało wnioskować, że więcej o nią narobiono hałasu, niż warto. Zresztą, zauważyć trzeba, iż instytucya spotka znaczne zawady przy wprowadzaniu w życie, chociażby dlatego, iż jednym z warunków jej funkcyonowania będzie nowe prawo umowowe, ograniczające dowolność przedsiębiorców w odprawianiu pracujących. W oczekiwaniu na projekt państwowy sypią się prywatne jak z rogu obfitości. Wśród nich zwraca na się uwagę pomysł prof. Lujo Brentano, wypowiedziany na odczycie w Dreźnie, już ze względu na postać projektodawcy, już na sformułowanie żądań. Uczony ten, europejskiej sławy, stawia jako warunek, bez którego niemożliwą jest emerytura dla robotników, ograniczenie wolności zrywania umów. „Nadzieje robotnika na rentę w starości, do której nabywa prawa przez wnoszenie wkładów, wolne być winny od niebezpieczeństwa, iż zostaną rozbitemi przez odprawienie.“ Brentano wnosi, iż zarówno każdy robotnik za siebie, jak przedsiębiorca za ogół pracujących powinni płacić stałe składki; państwo zaś ma dopłacać resztę, w razie gdy z powodu braku pracy, choroby itd. robotnik nie będzie w stanie uiszczania jej. Są i inne projekty różniące się od Brentanowskiego w jednym punkcie zasadniczo, mianowicie, gdy on żąda złożenia dozoru i wogóle całej instytucyi emerytalnej w ręce państwa, te domagają się wybieralności z pośród robotników i przedsiębiorców z prawem rozstrzygania co do faktów zerwania umowy i określenia części, płaconej przez państwo. Wreszcie, głosy te żądają, aby źródła, z których państwo czerpie swą część funduszu emerytalnego, pochodziły z podatków bezpośrednich. Zresztą, zdaje się, iż długo wypadnie jeszcze czekać na przeprowadzenie instytucyj emerytalnych dla robotników. Niemcy zajęte są czem innem — zbrojeniem się, a proroków głoszących zbawienne skutki militaryzmu, nie braknie. Zwłaszcza zwraca na się uwagę dzieło o 500 stronicach niejakiego Tucha: *Der erweiterte deutsche Militärstaat in seiner sozialen Bedeutung*. Autor widzi w militaryzmie „społeczno-etyczny“ i „polityczno-etyczny“ środek dla powstrzymania cywilizacyi od rozprzężenia w bezrządzie i gnuśności. Żąda więc zamiast jednego procentu zamknięcia w koszarach całej młodzieży w wieku odpowiednim (tj. $2\frac{1}{2}\%$ całego społeczeństwa), oraz zwiększenia terminu służby. Koszary mają zostać „społeczno-etycznymi“ ochronicielami rodziny, religii i państwa. Dla otrzymania funduszów na te wzniosłe cele, domaga się opodatkowania maszyn, bydła, węgli, trunków, papieru (10 fenigów od funta), posłańców itd. Słowem wynajduje nowych dochodów na 754,600,000 marek, z których zresztą tylko 685 obraca na militaryzm, pozostałe 70 oddaje wspaniałomyślnie na „inne“ cele — np. uregulowanie żołdu oficerskiego. To przekształcenie i rozszerzenie militarne państwa autor ochrzcił „rzeczywiście narodowym socyalizmem cywilizacyjnym!“

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA FRANCUSKA.

Paryż, 1 marca.

„Powieść romantyczna.“ — *Chonchette* Marcela Prévost. — Wyjaśnienie Bourgeta. — Sacher-Masoch, jego przedmowa i „odczute“ obrazki.

Za przykładem Guy de Maupassanta świeżo wstępujący na arenę literacką, Marcel Prévost, opatrzył również swą *Chonchette* (która zyskała rozgłos niepośledni i odrazu zjednała mu imię) — przedmową, wypowiadając w niej swe poglądy na zadanie powieści. Młody autor widzi w współczesnem powieściopisarstwie francuskiem dwie szkoły: naturalistyczną i psychologiczną. Obie opierają się na spostrzeżeniach: obie wyłączają wyobraźnię, jako główny pierwiastek twórczy. Naturaliści obserwują przeważnie fakty fizyczne i chcieliby dojść do pisania o ludziach, którym nic się szczególnego nie wydarza. Psychologowie zajmują się faktami duchowymi, usuwając, o ile można, wszelki ślad opowiadania. Powieści tych ostatnich (np. *Cours à la Mort* Edwarda Roda) stają się wskutek tego jakiemiś bezkrwistymi, wysnutymi z głowy (romans de cerveau), nieskończonymi opisami, kursami oderwanej psychologicznej metafizyki.

Młoda szkoła, do której pragnie się zaliczać Prévost, nie chce zupełnie zrywać z rzeczywistością i dostrzeganiem. Według autora, otoczenie i charaktery drugorzędne winny być kreślone z natury, szkoła dąży jednak do odzyskania prawa (reprend le droit) *tworzenia* bohaterów głównych (principaux personnages), którzy winni mieć większą wartość, niż zwykli śmiertelnicy (doivent être mis en valeur), nieco powiększeni, o rysach poglębionych. Obserwacya pozostaje w swych naturalistycznych prawach dla ram, w które oprawieni będą bohaterowie, dla charakterów drugorzędnych. Autor zapytuje następnie: na czem polegać ma owa robota „twórcza“ i odpowiada, że materyał do tej budowy zawsze trzeba będzie czerpać z rzeczywistości, należy jednak budować z niego coś wyższego i doskonalszego od danych realnych.

Według tych właśnie przepisów stworzył P. swój „roman romanesque.“ Chonchetta jest młodą dziewczyną, pełną idealnych i gorących pragnień. Wychowuje się początkowo w pustym i ponurym pałacu paryskim, przy starym i zgryzionym ojcu, następnie na pensyi w klasztorze. Tam poznaje młodego marynarza, narzeczonego swej przyjaciołki i mimowoli uczuwa dla niego gorącą miłość. Autor umiał z niepoślednią subtelnością, świeżością i wdziękiem odtworzyć serce dziewicze. Chonchette jednak nie ulega pokusom, walczy... Już w tem różni się ta miłość od naturalistycznej, w której popędy górują nad wszystkimi względami i nie znają dla siebie wędzidła... W toku tych walk wewnętrznych, przyjaciołka widząc, że i narzeczony jej uległ wdziękom Chonchetty — umiera. Zakochani mogą więc podać sobie ręce przez ten grób, staje jednak między nimi ojciec dziewczęcia i rzuca im okropną wiadomość, że są rodzeństwem — marynarz bowiem jest jego synem naturalnym. Wtedy Jan zabija się, Chonchetta zaś wstępuje do klasztoru...

Prévost dał się już poznać przed paru laty powieścią *Le Scorpion*, w której z niemałym talentem przedstawił dzieje gwałtownej miłości kandydata na jezuitę dla pięknej dziewczyny. Młodzieniec długo toczy walkę między tą miłością a ślubem czystości. Oba pragnienia są równie gorące i egzaltowane. Pod koniec miłość zwycięża. Dziewczyna, która kocha równie namiętnie młodego zakonnika, rzuca mu się na szyję. Następuje straszna walka dwóch uczuć, które łamią organizm celibataryusza i doprowadzają go do zidyocenia; dziewczyna tonie w wirze życia, które ją pochłania.

Autor jest bardzo młodym, zapowiada jednak wiele. Rozpoczął przed kilku laty pisać kroniki i nowelki, potem skończył szkołę politechniczną, jako „ingénieur de tabac,“ prawdopodobnie jednak powieść weźmie w nim górę nad tytoniem... (tytoń jest we Francyi „regalią“ rządową).

Przytoczyliśmy zapatrywania młodego autora, wyjęte z jego wstępu, są one bowiem charakterystycznem znamieniem zwrotu, jaki się dokonywa obecnie w powieści francuskiej. Stanowią jeden z etapów tego, co już okrzyczano nazwą „odrodzenia idealizmu.“ Są to dopiero próby wyzwolenia jej z przygniatających objęć naturalizmu i realizmu, próby jednak, które nie pozostaną bez naśladowców...

Tymczasem zaś przejdziemy jeszcze do Bourgeta i jego powieści analityczno-psychologicznej. Z powodu *Mensonges*, o których mówiłem w liście poprzednim, i za pośrednictwem *Figara* autor otrzymał do 200 listów od swych czytelniczek, które wypowiedziały swe zdanie o tej powieści. W odpowiedzi na nie pomieścił w pomienionym dzienniku obszerne wyjaśnienia, które zasługują na uwagę z tego względu, że autor odkrywa nam w nich tajniki swej twórczości i tłomaczy się z swych dążeń...

Niektóre zarzuty uważa za powierzchowne. Wiele pań było oburzonych, że śmiał bohaterkę swą, panią Zuzannę, która przecież jest damą światową, ubrać w... czarny gorset. Pokazuje się, że gorset tej barwy sprzeciwia się najelementarniejszym pojęciom o modnej i gustownej toalecie damskiej. Bourget został za to nader surowo osądzony...

Nie należy jednak mniemać, że on lekceważy sobie te i tym podobne nawet zarzuty niewieście. Posłuchajmy, co w prostocie ducha i chwalebnej szczerości wyznaje: „Czytelniczka czy spektatorka, kobieta, wiemy o tem, jest zawsze szczerą. Nie przystępuje ona do dzieł sztuki z gotowemi teoryami, nie żąda od nas, ażebyśmy byli idealistami lub realistami, impresyonistami lub dekadentami. Zainteresujcie mnie— powiada i nawet kiedy gani, czyni to z ogniem, który dowodzi, jak wielką wagę przywiązuje do dzieł wyobraźni. Mają one jej zaś tak mało w oczach tylu ludzi, tak zwanych poważnych! A wreszcie, mówiąc otwarcie, nie zdajemy sobie sprawy z jednej rzeczy, z tego mianowicie, że kobieta nawet najdoskonalsza, wie dyabelnie dużo

(diablement long), daleko więcej, niż cała psychologia p. Ribota i p. Herberta Spencera o tem sercu ludzkiem, którego staramy się być dokładnymi geografami i odkrywcami; we wszystkich tych zagadnieniach miłości i nienawiści, wewnętrznego szczęścia i nieszczęścia, ma ona właściwe jej widoczności (évidences), które, aczkolwiek niezredagowane formalnie, posiadają jednak szczególną wartość ścisłości (valeur d'exactitudes); kobieta ma również swe informacye (renseignements) bezpośrednie i dokładne (directs et précis) o życiu społecznem, o jego zdobyczach i nędzach... I po tem wszystkiem — dodaje powieściopisarz — lekceważycie sobie (allez faire fi) tego sędziego w spódnicy, czy ta spódnica będzie ze zwykłego perkalu, czy z miękkiego jedwabiu."

Rzuciwszy tych kilka, niezwykle trafnych i szczerych myśli — autor tłomaczy się przed swemi czytelniczkami...

„Powieść analityczna — mówi on — zajmuje się przedewszystkiem jednostkami, nie zaś obyczajami; zadaniem jej nie jest odtwarzanie otoczenia, szerokich i rozległych prądów obyczajowych, chce ona przedewszystkiem zaznaczyć odcienia, wyprowadzić na jaw, jak pod mikroskopem najdrobniejsze drganie serca (les infiniments petits du coeur). Wybiera chętnie zdarzenia niezwykłe i rzadkie z równem staraniem, jak powieść obyczajowa usiłuje ich unikać. Nie chodzi jej o to, ażeby jej osobistości spotykały się często, byleby tylko były możliwemi... Za typ takich powieści uważa Bourget *Adolphe'a* Benjamina Constanta, *Rouge et Noir* Stendhala, *Dominique* Fromentina. Powieści te starają się odtworzyć przesilenie z życia serca, odcienie charakterów...

W tem miejscu tłomaczy B. charakter Zuzanny. Zarzucano mu, że ta kobieta zepsuta nie może być typem światowej damy francuskiej. „Zrobiłem właśnie — mówi on — przypuszczenie, że Zuzanna jest córką wysokiego urzędnika obalonego porządku rzeczy, dlatego właśnie, ażeby usprawiedliwić nagłe przejście od wielkiej zamożności do zwykłego dostatku. Przytoczyłem również czyny osobiste jej ojca, uważając go za syna swych własnych dzieł (dorobkiewicza), który wyszedł z ludu, prawie ze wsi i zrobiłem go wdowcem, ażeby wykazać w Zuzannie naprzód brak moralności dziedzicznej, następnie zaś brak matczynego wychowania i wreszcie ten pociąg (apetit) czysto materyalny, który leży w podstawie jej próżności i zmysłowości i czyni zbytek koniecznym, równie dla jej ożywienia, jak i dla miłości własnej. Dałem Zuzannie męża, który obchodzi się z nią jak z utrzymanką, ażeby wytłomaczyć, że zbrakło jej i drugiej dyscypliny sumienia, równie jak pierwszej (rodzinnej i małżeńskiej)."

„Co do moralności— powiada Bourget — wierzę w to głęboko, że moralność znaleźć się powinna u kresu każdego ścisłego studyum psychologicznego." Autor nie zgadza się na przeciwstawienie sztuki tendencyom moralnym i powiada: „Kto nazywa książkę niemoralną, musi ją uznawać jednocześnie za fałszywą." Co się zaś tyczy śmiałości w malowaniu, odpowiem na to, że niema w *Mensonges* ani jednego szczegółu lubieżnego. Są sceny odtwarzane wiernie, które się mogą nie podobać. Jest to jednak właściwością prawdy, że nie znosi ona pochlebstwa. Pisarz, który chce swych czytelników pobudzić do myślenia nad różnymi zakątkami życia ludzkiego, musi starać się postawić im przed oczy te zakątki w sposób o ile można realny i namacalny. Nie abstrakcyami bynajmniej i cieniami doprowadzić można paryżan i paryżanki do wejścia w siebie i powiedzenia sobie: oto dokąd prowadzą łatwe układy z sumieniem."

Gdy konia kują i żaba nogę nadstawia... Ponieważ na porządku dziennym obecnie we Francyi literackie przedmowy i wyjaśnienia, więc i p. Sacher-Masoch, który zamieszkał w Paryżu i wyrabia się na francuskiego nowelistę i powieściopisarza, nie mógł sobie także odmówić własnej przedmowy i własnej teoryi. „Galicyjski powieściopisarz" rozpoczął mianowicie w *Revue bleue* szereg obrazków p. t. *Choses vecues* i pierwszy z nich poprzedził wstępem, w którym wypowiada swoje zapatrywania na twórczość pisarską. Sacher-Masoch uważa za błędny sposób stawianie naprzód tezy, następnie zaś robienie studyów, któreby mogły dostarczyć materyałów dla jej poparcia, według metody Zoli i szkoły naturalistycznej. Temat wysnuć się powinien autorowi z tego, co sam widział, słyszał i przeżył... Wskutek tego metoda powinna być nie indukcyjną, lecz empiryczną... naprzód dokumenty ludzkie, potem zaś teza. Daloby się o tem zapatrywaniu wiele powiedzieć i nie jest ono tak nowem, jak się wydaje „galicyjskiemu noweliście." Wybornem jest jednak następujące twierdzenie Sacher-Masocha: Autor — według niego— prócz względów fizyologicznych i psychologicznych, powinien wytłomaczyć swych bohaterów, przedewszystkiem jako wychodzących z natury, która je wydała, z epoki i warunków historycznych, w jakich żyli..."

Zdaje się, że o tem głównie wymaganiu Sacher-Masoch najczęściej zapominał. Dla uwidocznienia tego poglądu dał nam dotąd autor dwa obrazki pod ogólnym tytułem „Rzeczy odczutych." Pierwszy nosi tytuł *La bataille de Gdow*. Są to dzieje znanej bitwy pod Gdowem z czasów krakowskiego ruchu 1846 r. Z niezaprzeczoną szczerością, która dziwnie zresztą wygląda na stronicach republikańskiego *Przeglądu* (przestało to już prawie dziwić we Francyi), opisuje nam wszystkie te obawy, jakie „odczuwano" na wieść o przygotowującej się rewolucyi w domu ojca jego, dyrektora policyi we Lwowie. Na szczęście zjawił się energiczny Benedek, który wlał odwagę i otuchę w serca struchlałych już i zamyślających o wycofaniu się z kraju austryackich urzędników i żołnierzy... W tem autor istotnie się nie mylił. Są to rzeczywiście *Choses vecues*. Kreśli nam następnie dzieje tej powracającej odwagi austryackiej i opisuje, jak Benedek z garstką żołnierzy, korzystając przytem z usposobienia i przy pomocy ludu, rozgromił buntowników... Wszystko to kreślone z uczuciem, mającem swe niezaprzeczone źródło w lwowskim gmachu, sąsiadującym z „Domem Narodowym." Nie zapomina też autor o wierności, prawdzie, historyi i otoczeniu, opowiada bowiem o okrutnych polkach, które miały zamiar na balu własnoręcznie austryackich oficerów mordować, opisuje nam przytem jedną z takich bohaterek - amazonek, która pochwyciwszy w czasie bitwy austryackiego oficera i wziąwszy go do niewoli, chciała następnie własnoręcznie powiesić i uczyniła to — na szczęście jednak oberwał się.

W drugim obrazku, zatytułowanym *Feodosia Barbarow*, rzecz się dzieje we wschodniej Galicyi, w tejże samej epoce. Spotykamy się tu z ładną i zalotną wiejską dziewczyną „Feodosią," która mając narzeczonego Fedora, porzuca go jednak dla bogatego pana, de Bardiou, właściciela wsi i zostaje nawet niebawem prawowitą jego żoną. Fedor jest u nich parobkiem. Piękna Feodosia wciąż się nad nim znęca aż do dnia ruchu, kiedy Fedor podburza lud przeciwko panu, który chciał lud ten do rewolucyi pociągnąć, a lubo sam ginie, widzi jednak przed śmiercią, jak Feodosię i jej męża prowadzą związanych do Lwowa.

Dla zobrazowania warunków otoczenia spotyka się i tu słynna owa u Sacher-Masocha „kacabajka z czerwonego aksamitu," kołomyjka itp.

Nim szanowny galicyjski nowelista zacznie uczyć francuzów, jak należy pisać powieści, możeby wprzód sam do siebie zastosował znane: *medice, cura te ipsum...*

E. Przew.

TEATR.

Teodor Barrière. *Najnowszy skandal*, komedya w 3 aktach, z francuskiego.

Zawiódłby się srodze, ktoby chciał do tego najnowszego nabytku naszej sceny stosować miarę, do jakiej poniekąd upoważniają *Fałszywi poczciwcy*, tak gorąco zawsze oklaskiwani i tak zasłużeni w sprawie szerzenia Barrière'owi sławy zdolnego komedyopisarza. Nie znaczy to, żeby *Najnowszy skandal* był płodem poronionym dobrych lecz nieskutecznych chęci. Że jest raczej świadomą całkiem igraszką, zabawką wybornego znawcy teatru, o tem wymownie przekonywa treść.

Ktoś widział przypadkiem, jak z balkonu pięknej panny zeskakiwał w zarośla parku gach i jak ona w chwilę potem z lampą wyszła i w dole czegoś wzrokiem szukała. Stąd bardzo prosty wniosek, że śmiały gimnastyk nie kogo innego, tylko ją w ten sposób żegna, widocznie nie chcąc być zdybanym przez ciekawe oczy. Gdy panna owa, będąca lektorką bogatych baronostwa i obdarzona od natury wielką urodą, oraz talentem malarskim — w następstwie poślubia potomka jednego z najbardziej arystokratycznych rodów, ów skok z balkonu zjawia się nagle niby groźne widmo, by jej szczęście małżeńskie zamącić. Bo oto rywalka, piękna hrabina, która z mężem jej miała romansik, oczywiście niezbyt platoniczny, postanawia zemścić się na obojgu i na pierwszym wielkim balu dzielnicy St. Germain, na którym młoda mężatka, jako królowa miała zajaśnieć, urządza jej afront, puszcza w obieg między zebrane damy wspomnienie owej ucieczki nocnej z pracowni i zmusza znieważoną do opuszczenia towarzystwa. Jednak na sumieniu pięknej ex-lektorki żaden grzech nie ciężył. To nie ona przyjmowała wówczas u siebie mężczyzne, ale jej chlebodawczyni; ona tylko zaniepokojona dziwnym śród liści szmerem, wyszła z lampą na balkon. Zmuszona spowiadać się przed babką męża, która oszczerstwu mimowolnemu uwierzyła i przed mężem, który w szalonej miłości kona niemal z obawy stwierdzenia posądzeń, hańbiących jego żonę — nie może usprawiedliwić się, gdyż wszystkie pozory przeciw niej świadczą. Obecna tragiczność tej scenie istotna sprawczyni nieszczęścia, mogłaby ów fatalny skok wytłomaczyć, ale nie chce, bo drży o własną skórę. Wobec tego jeden tylko człowiek, odważny dezerter z pola schadzki, mógłby nieporozumienie wyjaśnić. W istocie zjawia się w chwili krytycznej i biedną ofiarę bardzo naturalnego *qui pro quo* ocala. Na tem główna osnowa się kończy — zarazem jednak autor ratuje i drugą bohaterkę, właściwą winowajczynię w tym wypadku; przez usta dezertera oznajmia o jej niewinności i ponieważ jest już teraz wdową, każe mu prosić ją o rękę. Słowem dwie rehabilitacye tworzą finał.

Opowiedziana tu intryga wraz z sceną balkonową, a jedynie prócz sensacyjnego skandalu, wywołanego przez mściwą rywalkę, rozgrywa się przed oczami widzów. Że jest efektowną, zapewniać zbyteczna. Akt trzeci, w którym znieważona kobieta przybywa do domu swego, tłumiąc spazmy i łkania, a potem staje przed sądem rodziny swego męża, w krzyżowym ogniu gorących spojrzeń — jest pomyślany śmiało i z wielką zręcznością i wprawą przeprowadzony.

Myśli w całej sztuce niema ani za grosz— jest tylko mistrzowstwo, tak zresztą popolite u francuzów. scenicznego układu. O charakterach również mowy być nie może tam, gdzie nie chodzi o usymbolizowanie jakiejkolwiek idei. Za to pełno banalnych epizodów, jak wybuchy wzajemne miłości młodych małżonków, nadzwyczajna szczodrość baronostwa dla lektorki, która zresztą od stóp do głów jest postacią zużytą w kome-

dyi i powieści, jak stuletni szeląg. Żywiołu komicznego, już chyba wbrew intencyom autora, niema wcale; dyalog bowiem między starą księżną, rubaszną według starej jak świat recepty, tj. policzkującą wnuków w napadzie dobrego humoru, a etykietalną w chwilach gniewu — nic zabawnego ani dowcipnego nie zawiera.

A jednak jest to robota niepoślednia, robota dzielnego majstra. Jest ona tak znamiennie zręczną, treść sztuki tak charakterystycznie bezmyślną i tytuł tak bezceremonialnie dziennikarski, że na pewno domyślać się można w *Najnowszym skandalu* takiej mniej więcej ukrytej dewizy autora: „Patrzcie, jak elegancką rzecz zrobić można z błahego zbiegu okoliczności!“ Tu figiel tak wyziera z każdego miejsca, że udobruchanej krytyce wytrąca broń z ręki.

Główniejsze role przypadły p. Rakiewiczowej, pannie Marcello, pani Lüdowej, panom: Ładnowskiemu i Tatarkiewiczowi. Obawa zatem o wykonanie zbyteczna. Wyborni ci artyści powinniby jednak postarać się o usunięcie takich zwrotów „z kiepska węgierskich,“ jak: „urąga ze mnie,“ „nie mogę znaleźć sposobu odgadnienia przybycia,“ czy też coś podobnego, oraz paru jeszcze, niemniej urągających „z języka polskiego.“

J.

W. SABOWSKI.

(Wspomnienie pośmiertne).

Cztery pseudonymy znane, oprócz nazwiska — jako tarcze, kilkanaście powieści, kilka komedyj, dużo wierszy a nieobrachowana ilość artykułów wszelakiej treści — jako tornister literacki, cały ten rynsztunek świadczy o wielostronności nieboszczyka. Był to przedewszystkiem dziennikarz, dziennikarz inwentarzowy, potrzebny i ceniony w każdej redakcyi, jako współpracownik do wszystkiego. W miarę potrzeby pisał artykuły o ortografii, balonach, polityce, rulecie, pedagogice, ubezpieczeniach, filozofii, oczyszczaniu miasta, darwinizmie, loteryi, etyce itd.—co mu zadano. Naturalnie szczytem, do jakiego autor mógł się wznieść w tylu kierunkach, była gładkość formy i zdrowy rozsądek treści. Po za te zalety Sabowski niedaleko wyszedł nawet w swych utworach artystycznych. Był to powieściopisarz zręczny, czasem zajmujący, ale nigdy czytelnika nie zdumiał głębszym pomysłem, nie olśnił sztuką. Płodził kształtną powszedniość, w której od wątku do pojedynczych wyrażeń wszystko było zwyczajne, ale ujmujące.

Jego czysto dziennikarska natura odbijała się nawet w przekonaniach, tak giętkich, jak zdolność pisania o wszystkiem. Z czerwieńca politycznego stawał się białym, z liberała *Kraju* (krakowskiego) współpracownikiem urzędowej *Gazety lwowskiej* a wreszcie konserwatywnego *Kuryera warszawskiego*. Z tą samą łatwością przechodził od sztandaru do sztandaru, z jaką myśl przesuwał od balonów do socyologii.

Kilkakrotnie próbował wydawać pisma na własną rękę i zawsze ze swą łodzią się rozbijał. Objaw do zrozumienia łatwy: Sabowski w sobie żadnej stałej busoli nie posiadał. To nie był sternik, ale wioślarz. Jako encyklopedya redakcyjna, jako pióro zależne, zwłaszcza w pismach niezabarwionych jaskrawo, przedstawiał znaczną wartość; ale jako przedni żóraw stada dziennikarskiego błąkał się i mylił. Wskazówki określone, prace obstalowane budziły w nim szybko zręczność zdatnego i sprawnego robotnika, ale buławą podpierał się jak kijem.

W młodości, gdy świeżość sił jeszcze się nie starła, obiecywał więcej; zaprzężony wszakże do gazeciarskiego deptaka nawykł do jego potrzeb i śmielsze porywy zatracił. Pisał artykuły okolicznościowe, z dnia na dzień, z wprawą i rutyną. O laurach już chyba nie marzył. Redakcya, w której był czynnym, pożegnała go z wielkim smutkiem. Wierzymy temu żalowi, bo stracono — współpracownika pożytecznego.

POEZYA.

WILK-DYPLOMATA.

BAJKA.

Nie bajkę, ale prawdę opowiem wam szczerą
o pewnym Wilku-dyplomacie,
wobec którego (czy mi wiarę dacie?)
najprzebieglejszy nawet lis — to zero!
Wiadomo, że ród wilczy
wśród różnych cnót i zasług swoich mężów wielu
dyplomatów nie liczy, a historya milczy
o jakim bądź w przeszłości wilczym Machiawelu.
Mój wilk był w tym względzie
wyjątkiem... o nim właśnie opowieść ma będzie.
Otóż ów „wyjątek“
dnia pewnego, leżąc wśród gęstej łoziny,
uczuł nagle niezwykłą chęć do baraniny.
Bezbożnik! ani zważał, że było to w piątek,
w który ksiądz pleban mięso jeść zabrania
i przeto każdy (oprócz księży) pości...
Ale tak zapachniała mu pieczeń barania,
aż przyprawiała o mdłości!
Pokusa nazbyt silna zwalczyła sumienie,
więc wstał z barłogu, wciągnął wiatr do nosa,
i manowcami, z ukosa,
ruszył truchtem po pieczenię,
to jest: na łowy.
Ale był to czas zimowy:
wokoło puste pola pod śniegu kobiercem
leżały wśród wielkiej ciszy —
i na nich ani owcy, ani nawet myszy
nie znalazł. Ze ściśnionem sercem
wałęsał się noc całą po zamarzłej roli,
a im dłużej — głód taki, że aż w kiszkach boli.
Co tu począć? Rad-nie-rad, chociaż czuł obawę,
postanowił ku wiosce skierować wyprawę.
Więc chyłkiem, pod płotami — od pory do pory,
nasłuchując, czy gdzie pies nie szczeka —
zmierzał do wsi... a gdy się zbliżył do obory,
taką radością zadrżało mu łono,
że byłby niezawodnie krzyknął: „eureka!“
gdyby nie to, że wówczas, gdy był małym wilczkiem,
jeszcze greczyzny w szkołach nie uczono.
Więc tylko kilkakrotnie oblizał się milczkiem
i ostrożnemi stopy
zaczął krążyć koło szopy,
szukając drzwi lub bodaj jakiego otworu,
przez który wlazłby do środka.
Zadanie łatwe z pozoru,
i sądził, że trudności nie spotka,
lecz — do czarta!
Wkrótce się przekonał, że brama zawarta
a ściany—chociaż z chrustu—mocne i bez dziury.
Tu—owdzie popróbował ostrymi pazury,
czy też nie zrobi wyłomu...
Daremne próby!
— Ot przyjdzie z niczem powracać do domu!
W tem obaczy
niewielki otworek w ścianie;
wetknął nos — nie lezie — za gruby;
więc wsuwa łapę — może co dostanie...
Już — już się dotykał jakiegoś runa,
gdy nagle powstał wielki rwetes, zamieszanie,
jak gdyby w szopę wpadł pocisk pioruna.
— Wilk! Wilk! — beczą barany, owce i jagnięta.
Gromadka zlęknięta,
wytrzeszczając na łapę wilczą duże oczy,
w najdalszy kątek szopy cofa się i tłoczy.
Widząc, że owcza tłuszcza
zbójeckie jego odgaduje plany
na dyplomatyczny fortel Wilk się puszcza
i głosem najsłodszym powie:
— „Piękne owieczki!.. szlachetne barany!
„Niech was mój widok nie podaje trwodze;
„nie myślcie sobie, że oto przychodzę
„czyhać na wasze życie i szanowne zdrowie.
„Co prawda — byłem dawniej łotr i paliwoda
„i nieraz pysk broczyłem w krwi niewinnej waszej
„(samo wspomnienie tego dziś mnie straszy!);
„lecz był to szał młodzieńczy, krew gorąca, młoda!
„Broiło się... bo tego sam już wiek wymaga.
„Ach! powiedzcież, barany — przyjaciele moi! —
„któż z was, naprzykład, za młodu nie broi?
„Ale nastała starość — a z nią i rozwaga:
„spokój mego sumienia grzechami zatruty
„domaga się poprawy i szczerej pokuty.
„Dziś już zboczyłem ze zbójeckiej drogi,
„rzuciłem dawne zbrodnie, szał i uczty krwawe,
„dawne wilcze zwyczaje, gusty i nałogi,
„O! dziś już nie to!
„Stałem się pokutnikiem i anachoretą,
„żywię się korzonkami albo szczypię trawę
„i zamiast krwi jagnięcej — czystą piję wodę.
„A więc, wielki narodzie owczy! bądź [spokojny:
„niech Bóg broni, bym tobie miał wyrządzać szkodę!
„Ja chcę pokoju — nie wojny.
„Precz wojna! niechaj żyje wieczyste przymierze!
„A oto na zgodę
„wyciągam moją łapę serdecznie i szczerze!“

Stado owiec zdumiałe tych wyrazów słucha.
Już je czułość ogarnia, wstępuje otucha,
już baran niektóry,
zaufawszy wilczysku,
chciał się zbliżyć do uścisku,
aż w tem zagrzmiał głos pastucha:
— Ej, mój panie! prawisz tere-fere!
Jeżeli twoje chęci pokojowe, szczere,
— pocoś łapę podaną uzbroił w pazury?
Nie wierzę przyjacielskiej dłoni, która drapie!
I to mówiąc, kłonicą pał Wilka po łapie!

Włodzimierz Wysocki.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Wypadki berlińskie. — Powódź. — Ziewanie przy uroczystościach watykańskich. — Dwa ważne znaki polityczne. — Słynne mazury. — Humorystyczne przedsięwzięcie *Hodowcy*. — Nasza terminowość. — Historya pogruchotanych palców. — Jak śnieg zabrał gratyfikacyę.

Berlińskie wypadki polityczne popsuły nam nieco szyki wrażeń zająwszy nadmiernie uwagę ogółu. Bolesław Prus trafnie dostrzegł, że w tygodniach ostatnich, reporterzy opisując różne zdarzenia — pożary, wylewy — zużyli niezwykłą ilość przymiotników wstrząsających, jak: groźny, straszny, potworny itp., ażeby zapomocą nich odciągnąć tę uwagę powszechną ku sprawom miejscowym. Daremnie: czytano przedewszystkiem orędzia i listy Fryderyka III, depesze o pogrzebie Wilhelma I, związane z tą zmianą rządów domysły, a powódź (która — dodajmy w nawiasie — bezecnie zawiodła nadzieje reporterów, bo nie uniosła ani jednej „kołyski z niemowlęciem“ i tylko raz w nocy kazała im być „na posterunku“), powódź — mówię — mimo „telegramów własnych“ nie zarysowała się tragicznie i nie przeważyła doniesień berlińskich. Nawet „uroczystości watykańskie,“ które przez czas pewien spożywano z wielkim smakiem, zaczęły sprawiać mdłości. Wprawdzie żaden z organów pobożnych nie spróbował silnego środka i nie krzyknął: nasz ojciec św. znajduje się w ciężkim niedostatku, gdyż msza papieska przyniosła zaledwie trzy miliony franków, składki jubileuszowe 32,500,000, a dary — 90 milionów! — ale i ta odezwa do miłosierdzia publicznego niewiele by pomogła. Wszyscy chętniej przypatrywali się pochodowi żałobnemu „pod lipami,“ niż operowym spacerom na „nositelnym tronie,“ które już troszkę za długo trwają i nic przedstawiają nowych pomysłów rezyseryi papieskiej.

Do ponęt z odmiany widoku przybyły ważne powody polityczne, które wzrok nasz skierowały w inną stronę. Zdaje mi się, że nikomu nie potrzebuję tłomaczyć, jak donioslc następstwa zawiera nadesłana telegraficznie do Warszawy wiadomość, iż „hr.

Romanowie Potoccy zaproszeni zostali do loży monarszej w katedrze berlińskiej.“ Ubliżyłbym każdemu czytelnikowi, którego domyślności chciałbym wobec tego faktu pomagać, wnioski bowiem leżą na wierzchu.

Ale nie dość tego! Dotychczasowy minister wojny w Austryi usunął się ze swego stanowiska, na które wszedł generał Bauer... Bauer? Samo nazwisko niczego by nam nie powiedziało i moglibyśmy pozostać ciemną tabaką w rogu, gdyby depesza *Kuryera* nie dodała: „Bauer, ożeniony z polką — *stąd* słyną w stolicy tańczone w jego salonie *mazury*.“ I to doniesienie jest błyskawicą, oświetlającą daleki i pełen nadziei widnokrąg; ośmielę się jednak zapalić przy niem moją informacyjną latarkę. Wiadomo, że imponujemy, grozimy, wreszcie przypominamy się Europie balami polskimi w Wiedniu. Telegraf corocznie roznosi sławę tych manifestacyj narodowych, na których zawsze jakiś minister „długo rozmawiał“ z jakimś stańczykiem, co „budzi sensacyę,“ arcyksiężna Stefania otrzymuje symboliczny karnecik, nawet cesarz austryacki „zamierza być obecnym,“ ale w ostatniej chwili coś mu przeszkadza. Bale te są uważane za rodzaj energicznego protestu przeciw mniemanemu okrzykowi Kościuszki, za dowód żywotności narodu, za objawienie się Białej Damy w pałacu dyplomacyi, za przedwstęp do wyroku Nemezydy, karzącej winowajców historycznych. Zwłaszcza zaś piorunujący wpływ na Europę wywierają tańczone tam mazury, którym szczególnego ognia dodaje poświadczenie, że pod nogami tych baletników politycznych tylko 30,000 ludzi umiera rocznie z głodu w Galicyi. Pojmujecie teraz, że żona ministra, której salon „słynie mazurami,“ musi oddziałać na nasze losy, i dlatego wzmianka w depeszy o tej sławie zarówno była ważną, jak znaczącą. Mamy salony, mamy w nich kobiety, które dorównywają znakomitym niewiastom historycznym, mamy mazury — czyli — mamy zapewnioną przyszłość.

Dziwny, śmieszny, naiwny ten *Hodowca*! Wobec tak doniosłych zdarzeń śmie mówić o wołach opasowych, jak gdyby hr. Romanowie Potoccy nie zostali zaproszeni do loży cesarskiej a żona austryackiego ministra wojny nie była naszą rodaczką, słynącą w Wiedniu z pielęgnowania mazurów. I o co mu chodzi — posłuchajcie tylko! Opanowała go szczególna myśl — zawiązania bezpośrednich stosunków między hodowcami a nabywcami (rzeźnikami) bydła opasowego i złamania pośrednictwa szkodliwego dla stron obu, stanowiącego monopol osobnej grupy handlarzów. W tym celu poznajomił producentów z warunkami tutejszego rynku i zapewnił im swoją pomoc. „W odpowiedzi — pisze on — odebraliśmy deklaracye, sięgające poważnej ilości, bo prócz paru tysięcy wołów, były oferty na owce opasowe i trzodę chlewną. Tutejsi rzeźnicy czekali z gotowością i — przyznajmy — z dużym zasobem dobrej woli na chwilę, w której będą mogli obalić monopol bardzo im dokuczający. Sprawa zdawała się układać jak najpomyślniej.“ Do redakcyi zaczęły nadchodzić listy z oznaczeniem *terminów* dostawy. Mając te terminy, uprzedziła ona rzeźników, ażeby na ten czas nie zaopatrywali się w większe partye...“ Hetmani tej walki z bandą monopolistów i zwerbowani przez nich rycerze czekają mężni i zbrojni na walną bitwę. Ale terminy nadchodzą i mijają a opasów jak nie widać, tak nie widać. Upłynęło *dziewięć tygodni* i dopiero w ostatnim *jeden* tylko szlachcic podolski przysłał partyę wołów i *raz* ktoś zawiadomił redakcyę, że towar został sprzedanym na miejscu. Cudowna statystyka naszej słynnej terminowości! „Przedstawiciel naszej redakcyi — pisze dalej *Hodowca* — był na *kilkunastu* posiedzeniach tutejszego cechu rzeźniczego i na mocy ofert poważnych traktował sprawę poważnie (naiwny!), tłomacząc, zachęcając niemal, by nabywcy, w imię obowiązku obywatelskiego i własnej korzyści, zerwali stanowczo z monopolistami i poparli młode przedsiębiorstwo. Głos jego trafił na grunt dobrze przysposobiony i z naszej strony tylko z uznaniem możemy odezwać się o cechu rzeźniczym; ale co on o nas powie? Naturalnie, wzruszy ramionami i wyśmieje gruszki na wierzbie. Jeśli do tego dodamy parę wypadków, w których termin dostawy był oznaczony nie w dnie targowe i chcąc wprost z wagonu sprzedaż uskutecznić, zawezwaliśmy do przybycia na stacyę kilku rzeźników, którym zamiast wołów pokazaliśmy... dym z komina lokomotywy, to rozwiązanie takie mamy chyba prawo nazwać co najmniej humorystycznem.“ Niewątpliwie. Ale ponieważ *Hodowca* sam się śmieje ze swej mrzonki, my z niego już się nie śmiejmy, zwłaszcza że zapewne przestanie na „terminowości“ naszej budować gmachy handlowe. Gdyby ściślej przypomniał sobie naszą naturę, pamiętałby, że wszelki termin, wszelka punktualność, ścisłość sprawia nam wstręt nieopisany i niepokonany. Skoro do mnie jakiś czysto (niemieszany) szlachcic polski zatelegrafuje wieczorem: przyjadę późno w nocy, muszę zaraz list wysłać, kup mi pan markę — odłożę ten sprawunek do jutra. Gdyby tenże szlachcic miał 12 córek dojrzałych i gdyby wiedział, że jedna z nich podoba się następcy tronu włoskiego w wagonie i że ten następca ją poślubi, z pewnością spóźniłby się na pociąg. A cóż to dopiero mówić o wołach opasowych!

Ktoby zaś pragnął poznać okaz naszego niespieszenia się z przyprawą ostrzejszą, radzę mu odczytać polemikę między dr Wieczorkiewiczem z Pyzdr w *Kuryerze warsz.* a jakimś korespondentem, który go oskarżył w *Kuryerze porannym*. Parobkowi dóbr Ł. sieczkarnia zgruchotała dwa palce. Dla każdego z nas byłoby tego bólu dosyć, ale nie dla chłopa. Jego też zgruchotane palce dostały się między tryby drugiej sieczkarni — kłótni pieniężnej lekarza z rządcą majątku. Więc naprzód chłopa skaleczonego *rano* odesłano do lekarza *wieczorem*. Ale dano mu pieniędzy za mało — tylko 3 rs., które nie wystarczały na opłatę ratunku. Dr W. kupił więc za tę sumę środków operacyjnych, kazał przygotować bandaże, opatrzył rękę „według wszelkich zasad antiseptyki“ i odprawił chłopa do domu. Nie mógł on mu wyluszczyć palców „na conto dominium,“ gdyż felczer nie chciał mu pomagać „na rachunek dominium,“ a zresztą „operacya nie była naglącą“ (tylko dwa palce zgruchotane — i to chłopskie). Nazajutrz Bartoszczak przybywa o godzinie jedenastej, ale bez pieniędzy, tylko z listem rządcy i przyrzeczeniem zapłaty. Różne przeszkody nie pozwoliły lekarzowi zająć się chorym wcześniej, aż o 2 po południu (czyli przybliżenie w 36 godzin od chwili wypadku). Teraz operacya poszła już gładko, gdyż nawet zjawił się rządca i wręczył doktorowi 13 rs., przyczem jednak — zaspokojenia dawnych długów odmówił.

Streściłem tę śliczną, wzniosłemi uczuciami przepełnioną Odysseę biednego chłopa według opisu p. Wieczorkiewicza. Prawdopodobnie ukrylo się z niej przed wzrokiem publicznym wiele szczegółów wymownych i ciekawych, ale i te, które wymknęły się, dają nam dość dokładne wyobrażenie, do jakiej potęgi dochodzi szybkość „wyłuskiwania“ zgruchotanych palców, jeśli to są palce chłopa i pańskiego parobka. Przy szczęśliwym zbiegu okoliczności — mianowicie, gdy ani lekarz, ani felczer nie chcą go ratować „na rachunek dominium,“ a dominium znowu chce coś utargować, może on przez 36 godzin cierpieć „według wszelkich zasad antiseptyki“ i czekać, aż polemika kieszeniowa się skończy. Ponieważ jednak czas słuszności jej trwania nie jest określony żadną etyką, podziękujmy w imieniu Bartoszczaka losowi, że trwała tylko 36 godzin.

Zarząd kolei Nadwiślańskiej znowu zarobił na błogosławieństwo swych pracowników. Obiecał dać im 22,000 rs. gratyfikacyi, ale szlachetne jego zamiary udaremnił... śnieg, na którego uprzątnięcie wydano tę sumę. Do śniegu więc, do natury — jeśli są materyalistami, lub też do Boga — jeśli są deistami, urzędnicy tej drogi niech mają pretensyę za to, że ich ominęły niebieskie migdały. Zarząd bowiem miał szczerą chęć okazania się szczodrym, ale „siła wyższa“ przeszkodziła mu. Niepodobna zaś wymagać, ażeby on zmiatał śnieg z plantu własnym kosztem. A jak ów Bartoszczak, któremu zoperowano palce po 36 godzinach, tak służba kolei niech podziękuje losowi, że zamiecie trwały tylko do połowy marca. Bo przecie trwać mogły dłużej, a wtedy zarząd musiałby pensye urzędników przeznaczyć na oczyszczenie toru. Zapewne uśmiechają się oni gorzko z tego dobrodziejstwa, ale mam nadzieję, że jakiś nowy okólnik zakaże im tego uśmiechu. Wogóle miny tych panów są bardzo nieregulaminowe: to smutne i pognębione, to znowu grubą ironią tchnące. Właśnie zeszłego tygodnia jechałem drogą Nadwiślańską i pilnie badałem wpływ oszczędności po twarzach jej służby. Na pewnej stacyi spostrzegłem jednego urzędnika, który stał z głową ku niebu wzniesioną i mruczał przez zaciśnięte zęby:

— Baw się, baw Panie Boże sypaniem tych białych płatków a ja za zmiatanie ich będę płacił.

Był to Prometeusz kolejowy, który zapewne wziąłby trochę rozrzarzonych węgli z lokomotywy dla ogrzania swego pieca, gdyby się nie obawiał Jowisza, grożącego mu piorunem „oszczędności.“

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Oświata ludu. — Kobiety rodzące i akuszerki. — Obrońca szkodliwych zwyczajów. — Przymusowi żebracy. — Pasterz wyganiający chude owieczki z kościoła i gromadzący skarby doczesne. — Geografia *Kuryera warszawskiego*. — Neron dziewiętnastego wieku.

W ostatnich czasach coraz częściej i żywiej są potrącane sprawy chłopskie przez prasę warszawską i prowincyonalną. Nawet *Gazeta rolnicza* poświęciła cały odcinek temu przedmiotowi. P. Gloger, szlachcic z krwi i przekonań, archeolog zawzięty, oderwawszy się od rupieci i kurzu przeszłości, potrafił równie dobrze jak w urnach, żarnicach i garnkach poszczerbionych z odległych wieków, rozejrzeć się w bieżącej ważnej kwestyi oświaty ludu. Nie wesoły to obraz! Na jakim poziomie wogóle jest stan umysłowy naszego chłopa, najlepiej świadczy to, że ci, którzy ledwie umieją nazwisko swe podpisać, uważani są przez gromadę za uczonych. Trudno też byłoby zebrać dokładne cyfry statystyczne, skoro są podzielone zdania, kogo należy uważać za piśmiennego. W wielu miejscowościach — powiada autor — władze gminne uznają za takich umiejących tylko pisać po rusku. Bardzo prawdopodobne jest przypuszczenie, iż na dziesięciu czytających przypada jeden piśmienny. Ale nabycie „sztuki czytania“ dla kmiecia nie jest też łatwem. Szkół gminnych rządowych w Królestwie Polskiem jest około dwóch tysięcy, zaś po za ich obrębem mogą uczyć tylko osoby ze specyalnem pozwoleniem naczelników gubernialnych dyrekcyj naukowych. Takich, co złożyli przed ową władzą egzamin i uzyskali prawo elementarnego nauczania, jest nadzwyczaj mało. Mamy w dziesięciu guberniach około trzydziestu tysięcy wiosek, czyli na *piętnaście* — *jedna* szkoła. Nic więc dziwnego, że połowa ludności włościańskiej wyrasta i umiera nie poznawszy liter. Cała gmina z kilkunastu, a czasem kilkudziesięciu wiosek utrzymuje wspólnym kosztem

jedną lub dwie szkoły. Czy w takich warunkach mogą wszystkie dzieci danego okręgu korzystać z nauki? Umieszczenie ucznia na stancyi zdala od chaty jest dla wielu ubogich rodziców niedostępnem. P. Gloger uważa za jedyny środek skuteczny przeciw złemu — pozwolenie bakałarzowania dane wszystkim osobom, które złożą świadectwa dobrego prowadzenia się i zobowiązania, że będą tylko nauczały początków w miejscowościach oddalonych więcej, niż o pół mili od szkół gminnych. W każdej prawie wsi znajdzie się jakiś stary oficyalista, organista, weteran, włościanin lub kobieta, którzyby chętnie za skromne wynagrodzenie uczyli dzieci wiejskie abecadła i pisania. Ludzi takich w kraju są tysiące. Nauczyliby oni — powiada autor — czytać setki tysięcy dziatwy wiejskiej, gdyby mieli na to pozwolenie, gdyby nie wymagano od nich bytności w mieście gubernialnem u naczelnika dyrekcyi naukowej i składania przed nim egzaminu. Nie ulega wątpliwości, że „większość tych osób — mówi on dalej — nie posiada gruntownie języka urzędowego i nauczanie małych dziatek zaczęłyby może od abecadła polskiego, ale żaden pedagog nie zaprzeczy, iż małe dziecko polskie daleko łatwiej nauczy się czytać po rusku, gdy już po polsku coś umie."

Czy ta połowa lub czwarta czytająca część ludności wiejskiej ma co czytać i odnosi korzyść ze swej nauki? Mógłbym na to śmiało powiedzieć: nie! Mały procent korzysta z jedynych u nas pism ludowych: *Gazety świątecznej* i *Zorzy*. Projektowano nieraz utworzyć kolporterye książek ludowych na prowincyi. Kto się tem zajmie? Tu trzeba ludzi inteligentnych, a tacy nie pojadą wózkiem albo nie będą dźwigać na plecach tłomoku od wsi do wsi. Korzysta więc z tego dotychczas bez współzawodnictwa pewien gatunek przedsiębiorców, którzy wiedząc doskonale, że lud najchętniej kupuje „Egipskie senniki," „Głowę Salomona" itd., sprzedają je gorliwie w tysiącach egzemplarzy. Są to kramarze wędrowni, słowacy, cieszący się wielką sympatyą mieszkańców wiejskich. Autor artykułu w *Gaz. rolniczej* podaje bardzo praktyczną myśl, na którą każdy szlachcic powinienby już od dawna wpaść bez bodźca: abonowanie pism przystępnych dla czeladzi, służby, karczem i domów zajezdnych do obywateli należących, tudzież wypożyczalnie książek. Jeżeli gazety znajdujemy w każdej cukierni, kawiarni, restauracyi miejskiej u nas i w każdej gospodzie publicznej za granicą, dlaczego — zapytuje p. G. — nie mogą się one znajdować w karczmach wiejskich, gdzie dotąd wieśniak spotyka się tylko z gorzałką i pokątnym doradcą, lub od wędrownych oszustów słucha potwornych bajek i chciwie czerpie wieści o mających jakoby nastąpić nowych nadziałach ziemi folwarcznej? Tymczasem popularne pisemko objaśniło by go o nowych urządzeniach i przepisach rządowych, cenach wszelkich produktów, doświadczeniach i ulepszeniach rolnych, zarobkach, przedsiębiorstwach, pożytecznych książkach, naukach itd.

W *Gazecie radomskiej* p. Kuźnicki, właściciel ziemski, stara się łagodzić stosunki chłopsko-szlacheckie. Artykuły jego, pełne spokoju i logiki, godne są często uwagi. Do takich należy: „Włościanie wobec większej własności ziemskiej," gdzie słusznie powstaje na forsowne naciąganie pojedynczych skurczonych faktów do szerokiej ogólnej sprawy. W innem miejscu „Z chłopskich stosunków życiowych" daje ciekawe szczegóły z własnych spostrzeżeń. Nie salonowe one, bo wywołujące rumieniec na skromnych twarzyczkach. Pomimo to warto poznać się z drażliwości i szczerze wejrzeć w położenie *włościanek rodzących*. Nieszczęśliwe te ofiary są pastwą głupoty i bezczelności akuszerek wiejskich. Gdyby prowadzić sumiennie statystykę śmiertelności, przerażający procent znaleźlibyśmy w rubryce: *z połogu*. Gospodarz owdowiały potrzebuje rąk kobiecych w domu i nad dziećmi osieroconemi opieki... macoszej. Maleństwo deptane, bite, zaledwie pełzać przestanie, idzie pasać gęsi, albo do ludzi obcych na tułaczkę. Można łatwo przewidzieć, co z tego biedactwa będzie w przyszłości. P. K. utrzymuje, iż samorząd gmin wiejskich mógłby zaradzić złemu uchwałą choćby skromnego zapewnienia bytu dla niższych szkół akuszeryi w każdej gminie. „Ponieważ jednak uchwały gminne stanowią ludzie głupi, drażliwi na najmniejsze wydatki, zagłuszający gromadę," a więc nie oczekujmy stąd pomyślnego rozwiązania tej sprawy. Z akuszerek powiatowych niewielka pociecha. Nieraz kilka mil drogi od powiatu odstrasza chłopa. Zresztą oderwana od praktyki w mieście jedzie z niechęcią na wieś, traktuje chorą niedbale, tak że chłop unika tej *doktorki* jak ognia. P. K. powiada, iż tylko *przymusowe* zakładanie przez gminy szkół dla akuszerek i później *przymusowe* utrzymanie ich wychowanek przez gromadę może zmienić fatalne położenie. Zapewne. Ale szkoda, że pozostaje ta tylko jedyna droga. Chłop wszelkiego przymusu boi się, bo go ma za wiele...

Uskarżającemu się w *Korespondencie płockim* na smutną dolę służby folwarcznej w czasie przeprowadzek noworocznych z oburzeniem odpowiedział jakiś szlachcic: niech cierpią, bo i w „pokojach (zapewne przedpokojach?) dworach wiejskich termometr spadł do 4 stop. R. ciepła." Cóż więc za wina chlebodawców, że w izbach ludności robotniczej woda zamarzła? „Trudnoż było zawrzeć z Bogiem kontrakt, aby w dni przeprowadzki mrozów nie zsyłał." Co za szczyt logiki w głowie szlacheckiej, przypominającej mózg indyka zahypnotyzowanego kreską kredową od dzioba wzdłuż na podłodze! Struś schowawszy głowę w szczelinę, uważa się za ukrytego. Obrońca szkodliwych zwyczajów podobnie się zasłonił brakiem kontraktu z Bogiem, zapominając zdania z kajetów kaligraficznych dla dzieci, że „w styczniu bywają zawsze mrozy." Można obejść się bez siły wyższej, zmieniając tylko miesiąc przeprowadzki zimowy na letni. Oszczędziłoby się chorób dorosłym i pogrzebów dzieci zmarzniętych, które nie mogąc jeszcze „chodzić do krowy z piciem," „do dołu po kartofle," „do prosiaka z żerciem," muszą w zgrzebnych podartych koszulinach wyczekiwać na przypiecku lub w kominie tej chwili uroczystej, kiedy z matczynych „łachów" dostaną uniform do pierwszej praktyki gospodarczej.

Oj, ten mróz, jak wilk, szczerzy zęby łodowate na ofiary i, psotnik, zdradza czasem okrutniejsze od siebie serca ludzkie. W Łodzi znaleziono na ulicy nawpół skostniałego w łachmanach chłopca. Gdy odzyskał przytomność, opowiedział ciekawym przechodniom, że go wysłała macocha na żebraninę. Niewiele zebrawszy, bał się wrócić do domu, więc postanowił noc przepędzić na dworze. Charakterystyczne, iż przymusowa żebranina szerzy się u nas gwałtownie, a na wychowawców nieletnich żebraków niema dotąd kary. Herbata dla biednych w Lublinie dała możność rzemieślnikom miejscowym rozwijania tego fachu. Majstrowie wpadli na pomysł wysyłania swoich terminatorów z rana do kuchni bezpłatnej, a sami kosztem oszczędności urządzają libacye po szynkach.

Może ciekawi jesteście czytelnicy, jak pewien pasterz traktuje swe owieczki. W powiatowem miasteczku Ostrowiu (gub. łomżyńska) jest przybudowana w kościele kaplica (zwana *lożą*) środkami obywateli i urzędników miejscowych. Przeważnie bywają tam ludzie z *delikatniejszej* sfery. Nie przeszkadzało to wszakże młodzieńcowi *niedelikatnemu*, bo pomocnikowi komisarza sądowego, stawać tam skromnie, modlić się i słuchać przykładnie nabożeństwa. Trwało to lat dziesięć, aż wreszcie niedawno proboszcz-kanonik podszedł do potulnego chłopca i przemówił doń głośno wobec licznej rzeszy wiernych z arystokracyi: „Pan, jak tu będziesz przychodził, to za każdy raz zapłacisz rubla kary." Wykluczony z kaplicy opowiadał mi ten fakt osobiście, złożywszy na ręce moje dowód z podpisem swoim i nazwiskiem księdza, który pożyczając żydom na procent pieniądze, stara się zwiększyć dochody karami z parafian, niegodnych urodzeniem i stanowiskiem zajmować miejsc uprzywilejowanych w świątyni.

Sługze bożemu w Ostrowiu musiały tak wylecieć z pamięci słowa Chrystusa o równości i zbieraniu skarbów doczesnych, jak reporterom *Kuryera warszawskiego* — geografia. Kto chce sprawdzić nieuctwo tych ostatnich, niechaj przejrzy nr. 71; znajdzie tam puszczę Białowiezką w... Nieświeżu!! Warto, panowie od mostków, przejść elementarny kurs nauki choćby o kraju, w którym mieszkacie.

Brakowało nam Nerona w bieżącem stuleciu, mamy go śród siebie. Przerażającej potworności wypadek opowiada korespondent z gub. grodzieńskiej. W osadzie Komosie pod Supraslem mieszkał Mateusz Rybakowicz, właściciel znacznego folwarku, człowiek z wykształceniem uniwersyteckiem. Ulubionem jego zajęciem było pieniactwo i dokuczanie wszystkim sąsiadom na każdym kroku. W roku zeszłym strzelał do gajowych w lesie, dwóch z nich ranił, jednego zabił. Za to został w pierwszej instancyi skazany na zesłanie do ciężkich robót, lecz pomimo protestu prokuratora wypuszczono go po złożeniu kaucyi na wolność aż do uprawomocnienia wyroku, od którego apelował. Pałający zemstą do mieszkańców wsi Ciasne, za to, że ci świadczyli w procesie o staw przeciw niemu, przyjechał tam konno z dubeltówką i rewolwerem o świcie 8 b. m. Wieś spała. Rybakowicz podpalił dwie chaty z brzegu. Gdy się zabierał do trzeciej, zbudzeni włościanie poczęli ogień gasić. Wówczas zbrodniarz jął strzelać do ludzi. Trzech zabił na miejscu, ranił jednego mężczyznę, kilka kobiet i dzieci. Mieszkańcy przerażeni poczęli uciekać, on zaś przebiegał szybko od budynku do budynku, podpalał stodoły i chaty. Gdy następnie chłopi, opamiętawszy się, chcieli go porwać, skoczył do płonącej stodoły, gdzie się żywcem spalił.

Drogomir.

KRONIKA BIEŻĄCA.

W odpowiedzi na wyjaśnienie redakcyi *Encyklop. wychowawczej* p. Trawiński nadsyła nam pismo następujące:

„Gdybym się nie był obawiał nadużyć uprzejmej gościnności *Prawdy*, byłbym z samego początku dłużej nad tą sprawą się rozpisał. Dziś, wobec pewnych twierdzeń kierowników rzeczonego wydawnictwa, trudno mi jest na pierwszej ogólnej protestacyi poprzestać. Niechaj czytelnicy *Prawdy* osądzą!

Że redakcya *Encykl. wychow.* uważała za stosowne skrócić część historyczną mego artykułu „Francya," tego jej za złe brać nie mogę, chociaż żałuję, że bliższem określeniem swego *desideratum* z góry mi podjętego trudu nie ulżyła. Również wymagania redakcyi co się tyczy szkół prywatnych z charakterem przeważnie religijnym, do tego stopnia wydały mi się słusznemi, że *sam* na jej żądanie, część tę uzupełniłem. Tem samem dałem jej, zdaje mi się, najlepszy dowód mej uległości.

Ale nie idzie za tem, żebym się miał wyrzec swego przekonania w kwestyach zasadniczych i pisać to, co temu przekonaniu wbrew jest przeciwnem. Tutaj *Encykl. wychaw.* za daleko posunęła zastosowanie prawa, które posiada, dla wyższych względów, *czynienia zmian* w rękopisie. Zaznaczenie bowiem nawiasem, cudzysłowem i własnym podpisem swoich poglądów, jest tak niewyraźne, tak doskonale z moim własnym tekstem sklejone, poniekąd w nim utopione, że nikt łatwo nie dostrzeże, gdzie ja proza, a gdzie Redakcyi proza. Trudno też odgadnąć, że

nieco pogardliwe wyrażenie *doktrynerstwo bezwyznaniowe*, którego argumenta Redakcya zbija, do mnie się ma stosować. Kto nie podziela zdania autora, zwykle zapomocą odsyłacza, w formie noty, osobno, osobnemi czcionkami, jasno i otwarcie swoje czyni uwagi. *Suum cuique!*

Największą wreszcie i zaiste słuszną bardzo mam urazę do Szan. Redakcyi *Encykl. wychow.* za to, że w kilku ważnych miejscach nie raczyła nawet ani podpisem swoim, ani nawiasem, ani nawet bojaźliwym cudzysłowem swojej opinii od mojej odróżnić, za to, że bez najmniejszej ceremonii, bez żadnej litości pod swój sztandar mię zaciągnęła. Nie chcąc zbytecznie listu tego przedłużać, odnośnych ustępów cytować nie będę. Redakcya *Encykl. wychow.* zna je doskonale, może je porównać z moim rękopisem, który zachowała. Dosyć będzie zwrócić jej uwagę na wiersz 4 i nast. str. 289.

Gdyby Szan. Redakcya była raczyła, według przyjętego wszędzie w takim razie zwyczaju, przesłać mi korektę mojej pracy, bylibyśmy z pewnością niemiłego dla mnie i dla niej wyświetlenia uniknęli. Byłbym niezawodnie cofnął swój rękopis, albo też poprosił o niepodpisywanie *mojem* nazwiskiem rzeczy, w której jest dużo *niemojego*.

Zostaję itd. *Trawiński.*

Emerytura. Projektowana nowa ustawa o kasie emerytalnej dla urzędników cywilnych zastosowaną będzie do wszystkich osób, zostających w służbie, które będą miały prawo do pobierania emerytury. Powstanie ona z wkładów uczestników, a część brakującą dopłaci kasa państwa. Sierota, jeżeli niema już matki, pobiera, według projektu, 20% ojcowskiej emerytury, przy matce zaś — 17%. Emerytura dla wdowy bez dzieci — 75%, z dziećmi — w całości. Przy wyjściu wdowy sa mąż — 50%.

Ministeryum skarbu — jak donosi *Now. Wrem.* — zwróciło w ostatnich czasach szczególną uwagę na zakłady fabryczne i rzemieślnicze w Królestwie Polskiem nad granicą. Podejrzywane one są o przemytnictwo.

Wyzysk. Podczas zamieci śnieżnych węgiel kamienny w Warszawie podrożał. Tymczasem zarząd kolei wiedeńskiej ogłasza, że dowóz tego materyału wcale nie był wstrzymany, a więc podskoczenie cen jest wyzyskiwaniem łatwowiernej publiczności przez składników.

Bolesne ciosy uderzyły w serce znanego poety W. Gomulickiego. W jednym tygodniu stracił on dwoje dzieci, a obecnie żonę. Dziwnie czasem los pastwi się i to nad ludźmi, którzy jego okrucieństwa najbardziej odczuwają.

Roboty nad uregulowaniem koryta Dniepru pod Kijowem i Kremeńczugiem, Prypeci w pobliżu miasteczka Czarnobyla i Dniestru między Mohylowem a Wychwatyńcami rozpocznie ministeryum komunikacyi z nadejściem wiosny.

Poruszono sprawę zniesienia „kolegiów landrackich" w kraju Nadbałtyckim.

Cukrowni wszystkich w państwie jest przeszło 200. Przerabiają one buraków wogóle berkowców (po 400 funtów) 28 milionów i otrzymują stąd cukru około 22 milionów pudów.

Muzeum etnograficzne w warszawskim ogrodzie zoologicznym wkrótce otwarte będzie (z opłatą dodatkową 10 kop. od osoby). Najbogatsze dotąd są zbiory mineralogiczne. Właściwy dział etnograficzny dotąd jeszcze dość ubogi.

Towarzystwo przemysłowców polskich zawiązało się w Grudziądzu. Dotychczas liczy 38 uczestników.

Statystyka. Ministeryum sprawiedliwości podjęło wniosek o koniecznej potrzebie zbierania i ogłaszania szczegółów statystycznych o niewypłacalności handlowej w Rosyi.

Handel. Grono przedstawicieli stanu kupieckiego w Petersburgu opracowało memoryał, którego celem jest wzmocnienie kredytu handlowego przez położenie kresu „złośliwym" bankructwom. Środkiem skutecznym ma być wydanie przepisów zabraniających kupcom sprzedawania swoich zakładów handlowych i przemysłowych, oraz majątków nieruchomych przed ogłoszeniem o takiej sprzedaży w pewnym oznaczonym terminie i jeżeli sprzedającemu nie będą wytoczone procesy, albo jeśli roszczenia wierzycieli nie zostaną zabezpieczone, choćby nawet termin ich regulowania nie nadszedł.

Gazeta sądowa wydaje rocznik, obejmujący dokładny spis wszystkich władz rządowych, osób zajmujących się praktyką na tem polu itd. Nadto umieszczone są taksy szczegółowe dla adwokatów przysięgłych, rejentów, komorników itd.

W Czernihowie na rozkaz ministra spraw wewnętrznych zamknięto czytelnię publiczną.

W Wiernem ciągle się ponawiają lekkie trzęsienia ziemi.

Projekt zmian miejscowości syberyjskich, przeznaczonych na zsyłanie, opracowało ministeryum spraw wewnętrznych. Zmiana ma dotyczyć tylko osób skazywanych wyrokami sądowymi na mieszkanie i osiedlenie, oraz wyłącza zupełnie gubernię archangielską.

Wagony sypialne z d. 13 marca zaprowadzono na kolei Warszawsko-Petersburskiej. Za pierwszą klasę z Petersburga do Warszawy i odwrotnie dopłaca się 6 rs. 25 kop., za drugą — 5 rs.

Wystawa inwentarza odbędzie się w Warszawie na placu Ujazdowskim między 9 a 19 czerwca r. b. Deklaracye i wszelkie w tym przedmiocie korespondencye przyjmuje kancelarya Towarzystwa wyścigów konnych i wystawy (pałac hr. A. Potockiego, Krakowskie Przedmieście nr. 32). Ostateczny termin składania deklaracyj 15 maja. Oprócz inwentarza żywego przyjmowane są na wystawę wszelkie przedmioty, mające związek z chowem i pracą koni, a w dziale pozakonkursowym — machiny i narzędzia rolnicze.

Ruch na drodze Iwangrodzko-Dąbrowskiej z d. 15 b. m. na całej linii przywrócono. Między Kunowem i Ostrowcem pociągi są przepychane.

Nowa kopalnia. P. Hartman otrzymał pozwolenie na otwarcie kopalni węgla pod nazwą „Konstanty" w pow. będzińskim.

Z Nowego-Yorku donoszą, iż pod idącym pociągiem pospiesznym runął most. Zginęło 150 osób.

Zamiecie śnieżne szaleją znowu w Niemczech. Jedne pociągi przychodzą do Berlina ze znacznem opóźnieniem, inne nie przybywają wcale. Na dwunastu liniach w Prusach wschodnich ruch zupełnie wstrzymany.

Orkany na wybrzeżach Stanów Zjednoczonych rozbiły około 200 okrętów. Straty ogólne przenoszą 10 millionów dolarów. Setki ludzi zginęły. Jeden pociąg kolei spadł ze znacznej wysokości i zapalił się. Prawie wszyscy podróżni zginęli. Z prowincyj tamtejszych dochodzą przerażające wieści o spustoszeniach wyrządzonych przez orkany. Mnóstwo ludzi zginęło.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. Zygmuntowi R. Dobrze — z wyjątkiem 1, 2 i 3, które są wyczerpane.

P. Leonardowi Z. Z dowodzenia pańskiego wypływa: że renta gruntowa nie istnieje, że gospodarstwo rolne nie daje zysków — itd. Ekonomia polityczna o tych prawdach nie wie, a jeżeli niemcy kupują ziemię polską w Poznańskiem, to chyba nie z pobudek ofiary. Gdyby nawet osobisty rachunek majątku pańskiego był ścisłym, nie może on służyć ani za regułę gospodarczą, ani za polityczną.

Z. R. Mefisto (pseudonym) w *Życiu*. Tegoż autora wiele wierszy w *Echu*, rok przeszły i bieżący.

Uwaga. Redakcya rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu zachowuje.

OFIARY.

Dla biednych: Dr. Adam Rodzewicz z Tiraspola rs. 1 k. 95. — Bezimiennie kop. 50. — Od J. Mol. k. 30, Fr. Wr. k. 15, W. Sus. k. 45, J. Dmow. k. 15, J. Dobr. k. 15, Fr. Wod. k. 15, J. Gąs. k. 30, E. Rüd. k. 30, W. Łub. k. 30, J. Jezior. k. 15, Z. J. k. 40, E. Ruck. k. 15, W. Red. k. 10 — razem rs. 3 k. 5.

Na szkołę rzemieślniczą. Jabłkowski Józef rs. 1 k. 50.

Do rozporządzenia Redakcyi. U. D. N. rs 20.

Sprostowanie. W nr. 11 w artykule „Dwie plagi" obok cytaty łacińskiej: *rari nantes in gurgite vasto*, winno być Wergiliusza, zam. Owidyusza.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 11 Марта 1888 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Święto[chowski]